

22. I. 1961
Nr 3(28) • ROK II
WARSZAWA

Rodzina

KATOLICKI TYGODNIK ILUSTROWANY

Cena 2 zł -

WIERZYĆ CZY NIE WIERZYĆ?

Takie pytanie zadaje sobie każdy myślący człowiek. A jeżeli wierzyć, to czy myśleć, analizować, czy też wszystko przejąć po rodzicach, po dziadkach: metrykę, wyznanie. Tak jak się dziedziczy mieszkanie, sprzęty, dom, warsztat czy pole.

Wielu „metrykalnym“ katolikom wystarczy, że są zapisani w księgach parafialnych, że od czasu do czasu idą do kościoła, aby wysłuchać Mszy św. w obcym języku, że uchodzą w swoim środowisku za ludzi wierzących.

Swoją wiarę, swój katolicyzm traktują formalnie, tradycyjnie. Nie są jednak ani umysłem, ani sercem zaangażowani w jego duchową treść. Ich katolicyzm jest świątecznym, niedzielnym dodatkiem do życia, lecz na życie nie wpływa i do Boga nie zbliża.

Katolicyzm prawdziwy — to działanie Chrystusa w ludzkiej duszy, to Boże życie w człowieku. Katolicyzm ma być treścią życia ludzkiego na co dzień, impulsem i siłą duchową w pracy i w walce o chleb i o zbawienie.

Wierzący katolik — to nie ten, kto jako niemowlę bez swojej zgody i wiedzy został ochrzczony wodą przez kapłana. Wierzący katolik to ten, kto sam odnalazł duchowo Chrystusa i przez sakramentalne życie pozostaje z Nim w stałej łączności. „Kto uwierzy i ochrzci się, zbawion będzie“ — mówi Pismo św. — a więc nie tylko ochrzcić się, ale i uwierzyć potrzeba, aby być zbawionym. Z wiarą żyć trzeba i z wiarą umierać.

Dlatego katolicyzm — to nie przynależność formalna, ani atawizm czy łączność z zagraniczną hierarchią, czy organizacją kościelną, to łączność duchowa z Chrystusem i Jego Kościołem, to uczestnictwo w życiu nadprzyrodzonym przez sakramenty święte, to postawa etyczna wobec bliźnich, braci naszych, zgodna z duchem Nowego Testamentu. To uznawanie zasad wiary katolickiej przekazanej nam przez apostołów i życie według jej norm.

Rzecznikiem, nauczycielem i realizatorem takiego apostołskiego katolicyzmu jest w naszej ojczyźnie Kościół Polsko-Katolicki, który — zachowując zasady wiary katolickiej pierwszego tysiąclecia — przez swych ważnych biskupów i kapłanów spełnia wyznaczoną mu misję i prowadzi wierzących do Boga i do zbawienia. (N)





EWANGELIA

NA NIEDZIELĘ DRUGĄ PO TRZECH KRÓLACH

Onego czasu: Odbывwały się gody weselne w Kanie Galilejskiej i była tam matka Jezusowa. Zaproszono też na gody Jezusa wraz z uczniami Jego. A gdy zabrakło wina, rzekła matka Jezusa do Niego: Wina nie mają. I rzekł jej Jezus: Zostaw to mnie, niewiasto, jeszcze nie nadeszła godzina moja. Mówi tedy matka Jego do sług: Uczynicie, cokolwiek wam powie.

A było tam sześć stągwi kamiennych, ustawionych dla obrzędowych obmyć żydowskich, z których każda mogła pomieścić dwa lub trzy wiadra. Rzeczce im Jezus: Napełnijcie stągwie wodą. I napełnili je aż po brzegi. I rzekł do nich Jezus: Zaczepnijcie teraz i zaniescie gospodarzowi wesela. I zaniesli. A gdy gospodarz skosztował wody, która się stała winem, a nie wiedział, skądby się wzięło (lecz słudzy, którzy czerpali wodę, wiedzieli), przywołał gospodarz wesela oblubieńca i rzekł doń: Każdy człowiek daje naprzód dobre wino, a kiedy się napiją, wtedy tu, które jest gorsze, a ty zachowateś dobre wino aż do tego czasu. Taki początek to cudów uczynił Jezus w Kanie Galilejskiej i okazał chwałę swoją i uwierzyli weń uczniowie Jego.

(św. Jan 2, 1—11).

JEST to może trochę dziwne i trochę paradoksalne, że Głosiciel wyrzeczenia i samozaparcia, tuż na początku swego publicznego wystąpienia, udał się na wesele do Kany Galilejskiej. Właśnie tam, by wybawić gospodarzy z kłopotu, na prośbę swej matki uczynił pierwszy swój cud. Na tle nauki Chrystusa zawartej w ewangelii perykopa o godach weselnych robi wrażenie opisu apokryficznego. Jak wiadomo bowiem — apokryfy pełne są takich epizodów. A jednak nikt nigdy tej perykopy nie podważał — przeciwnie, piękne homilie oparte o jej treść są dowodem jej powszechnie uznawanej autentyczności. Bóg miał swój plan, przez ludzi nie odkryty ani zbadany, i w tym planie tkwi odpowiedź na pytanie, dlaczego Jezus brał udział w weselu, dlaczego uczynił cud i to taki cud. Autorytet natchnionego Słowa Bożego oneśmiela różnych pruderyjnych pseudoascetów, gdyby nie to, wystąpiłby z właściwą im dewociarską, płytką krytyką pod adresem ewangelisty. Dociekania niekiedy bardzo mdłe i niesmaczne, mające na celu udowodnić czytelnikowi, co leżało w zamiarach Jezusa ucztujucego na weselu, są tylko mędrkowaniem pozostającym co najwyżej w sferze domysłów. Wydaje się słusznym, by zwrócić uwagę na jedno, na to mianowicie, że jeżeli Jezus brał udział w weselu — to niewątpliwie tak jak wszyscy obecni, we-



LORENZO LOTIO (1480—1556)

PRZEBŁAGANIE



dług zwyczaju żydowskiego, daleki od napuszości i sztynności.

Sw. Jan w Ewangelii ma zamiar dowieść, że Słowo Wcielone w czasie swego życia na ziemi należycie udowodniło swe Boskie pochodzenie; dla łatwiejszego zrozumienia każdy opis cudu podaje z najmniejszymi niekiedy szczegółami.

Chrystus wracając znad brzegu Jordanu do Galilei wstąpił po drodze do Kany, miasteczka odległego od Nazaretu o dwie mile.

Trzeciego dnia po przybyciu Jezusa do Kany odbywało się tam wesele, na które zaproszono Chrystusa i uczniów Jego. Maryja zaś była zaproszona już przedtem. U Żydów zaręczyny i wesele należały do uczt przepisanych prawem i zaproszeni nie mogli się wymawiać.

Żydzi mieli zwyczaj jadać tylko dwa razy na dzień (Łk. 14,12). Około południa spożywano śniadanie, składające się z chleba, owoców i mleka (Rodz. 43,16; Dan. 13,13; Łk. 11,37); obiad, główny posiłek, jedzono dopiero wieczorem (Łk. 14,16,17,8); przyjmowanie posiłku w czas rano uchodziło za rzecz zdrożną (Przyp. 10,16), tym więcej picie wina (Iz. 5,11; Dz. Ap. 2,15). W dawnych czasach zasiadano do uczy z podwiniętymi nogami na matach rozłożonych na ziemi. Bogatsi jednak od dawna zaczęli używać krzesel (1 Sam. 20,5,25). Leżenie zaś na sofach i poduszkach przy biesiadach wspomina już Amos w 6,4 i gani to jako zwyczaj obcy. Niemniej jednak w późniejszych czasach stał się on powszechnym, praktykowanym, zwłaszcza przy uroczystych biesiadach (Ez. 23,41; Łk. 7,26; Jan 13,23). Na jednej sofie leżały zazwyczaj trzy osoby, przy czym opierało się na lewym łokciu. Przy ucztach nie używano noży, widelców i łyżek; potrawy brano palcami z misy (Przyp. 26,15; Mt. 26,23), stąd to musiały w pobliżu znajdować się naczynia z wodą dla częstego obmywania rąk. W Kanie Galilejskiej były stągwie kamienne, służące częściowo do ablucji rytualnych, a częściowo

do obmywania rąk w czasie uczy. Stągwie nie były pełne, bo wodę zużyto, stąd Chrystus każe napełnić stągwie na nowo.

Uroczystości weselne u bogatych trwały cały tydzień, u biednych zaś przynajmniej trzy dni.

Z ewangelii można wnioskować, że wesele, na które Chrystus był zaproszony, wyprawiali biedni, zabrakło im bowiem wina.

Dowiedziała się o tym Maryja. Przyzwyczajona, że Jezus zawsze wypełniał jej życzenia, zwróciła się do niego: „Wina nie mają“.

Tymczasem Jezus odpowiedział: „Co mnie i tobie niewiasto? Jeszcze nie przyszła moja godzina“. Odpowiedź ta wydaje się przykra. Toteż egzegeci zwracają się do tekstu oryginalnego i starają się dociec, czy w języku aramejskim również ma to samo czy inne, łagodniejsze znaczenie.

Wydaje się, że można to zdanie rozumieć tak: „A cóż to nas może obchodzić, przecież to nie nasze wesele“. Ta odpowiedź, rzecz oczywista, nie miała sensu negatywnego, stąd polecenie ze strony Maryi: „Cokolwiek wam rozkaże, uczynicie“.

Metreta równa się 34 litrom, jeżeli więc było 6 stągwi po 3 metrety — to wyniesie to około 612 litrów; jeżeli zaś 6 po 2 metrety — 408 litrów, w każdym razie, jak widać, ilość poważna. Tę całą wodę Chrystus zamienił cudownie w wyborne, jak mówi ewangelista, wino.

Oczywisty cud umocnił wiarę uczniów przypatrujących się temu wydarzeniu. Pozostali biesiadnicy, nie wyłączając gospodarza wesela, nie mogli wyjść z podziwu, skąd się wzięło tak dobre wino przy końcu uczy. Rozpowiedzą to później słudzy, którzy wodę czerpali. W każdym razie Jezus Chrystus rozpoczął swą publiczną działalność i odtąd, ile razy zachodziła tego potrzeba, nie tylko wiarę apostołów, ale również i wiarę pozostałych słuchaczy — niekiedy licznych rzesz — umacniać będzie cudami.

Ks. dr Naumczyk

MĘCZENNICZY PIERWSZYCH WIEKÓW



Św. Sebastian

to – byli oni zwierzchnikami Kościoła rzymskiego, obejmującego prowincje Italii, i byli uważani oraz sami się uważali za równych pod każdym względem wszystkim innym biskupom na świecie.

Cały Kościół Chrystusowy cierpiał w pierwszych wiekach swego istnienia z powodu licznych, niejednokrotnie bardzo krwawych prześladowań – cierpiał również Kościół rzymski. Prześladowanie nowego ruchu religijnego, jakim było chrześcijaństwo – ruchu o znaczeniu także społecznym – było normalną i zrozumiałą reakcją świata pogańskiego, nawykłego w ciągu wieków do swej etyki, swych poglądów na bóstwo, swych świąt i swojej tradycji. Nie łatwo było władcy, którego religie pogańskie stawiały częstokroć na równi z bogami, przyjąć do wiadomości, że jest bratem w Chrystusie zwykłego obywatela, a nawet żebraka. Toteż władcy chętnie wydawali dekrety o prześladowaniu chrześcijan.

W Rzymie nie było podówczas zamku Anioła, nie było twierdz, ufortyfikowanych klasztorów, nie było również obecnej bazyliki św. Piotra. Kościołami chrześcijańskimi były przeważnie ubogie domy lub zamienione na kościoły opuszczone świątynie pogańskie. Biskupi i kapłani celebrowali na grobach męczenników w podziemnych cmentarzach, czyli katakumbach; tam też gromadzili się wierni na nabożeństwa, nocne czuwania, czyli wiggile, i szukali schronienia przed prześladowaniami. W tej sytuacji biskupi byli jeszcze prawdziwymi pasterzami powierzzonego sobie ludu, dzielącymi z nim dole i niedole. Byli jeszcze – o ile tak powiedzieć wolno – bardzo apostołscy i pełni ducha Chrystusowego.

Do tych prawdziwych pasterzy rzymskiego ludu wiernego należą wymienieni na wstępie święci. Telesfor poniósł śmierć za czasów Hadriana, Fabian za Decjusza i pochowany został w katakumbach św. Kaliksta, zaś Marcell zginął krótko przed wydaniem słynnego edyktu za Konotana. Wszyscy oddali życie w obronie swych przekonań, wyznając wiarę w Chrystusa, pełniąc obowiązki pasterskie.

Dlatego Kościół składa hołd ich pamięci i wspomina czasy, gdy papieństwo było aż tak święte.

M. PIJARSKI

BÓG JEST WSZĘDZIE



UZBROJONE NIEMCY ZACHODNIE NIEBEZPIECZEŃSTWEM DLA POKOJU

Przed 10 laty, kiedy podejmowane były kroki zmierzające do remilitaryzacji Niemiec, sami Niemcy byli jej jak najbardziej przeciwni. Przeciwni byli również sojusznicy USA z okresu młodszej wojny, zwłaszcza ci, którzy poznali butą i bezwzględność hitlerowskiego Wehrmachtu. Francuzi, Belgowie, Holendrzy, Duńczycy, Norwegowie, przeciwni byli odbudowie niemieckiego potencjału wojskowego.

24 maja 1950 r. kanclerz Adenauer powierzył b. generałowi Wehrmachtu Schwerinowi przygotowanie zarządzenia o powołaniu do życia organizacji paramilitarnych w NRF. W październiku tego samego roku utworzony został tzw. „Urząd Blanka”. Stał się on zalążkiem późniejszego ministerstwa obrony, a w którym znalazło zatrudnienie 200 oficerów, którzy przystąpili do opracowywania zasad odbudowy niemieckich sił zbrojnych.

8 maja 1954 r. NRF włączona została do NATO.

16 lipca 1955 parlament NRF uchwalił ustawę o ochotniczej służbie wojskowej, przewidującej w początkowej fazie rekrutację 6 tys. żołnierzy.

20 stycznia 1956 r. pierwszy kontyngent żołnierzy wkroczył do koszar. Data ta została uznana za oficjalne „urodziny” Bundeswehry.

Kiedy nastąpiła „zmiana warty” i Blank ustąpił miejsca Strauseowi rozpoczęło się przyspieszone montowanie armii niemiecko - zachodniej. Już w połowie 1953 r. jej stan liczebny wynosił 218 tys. ludzi. Z tego na armię lądową przypadało 135 tys. żołnierzy, na lotnictwo 50 tys., na marynarkę wojenną 21 tys.,

a na jednostki obrony terytorialnej 12 tys. W tym samym czasie pod dowództwem NATO znajdowały się niemieckie trzy dywizje spadochroniarzy, jedna dywizja strzelców alpejskich, 5 flotylli obrony przybrzeżnej i jedna jednostka transportu lotniczego.

Po załamaniu się konferencji na szczycie przyspieszono rozbudowę Bundeswehry. Zwiększono kontyngenty rekruta. Największe postępy poczyniono w dziedzinie broni. Ponieważ nie istnieje właściwie w NRF przemysł zbrojeniowy (z wyjątkiem lotnictwa) niemieckie ministerstwo obrony zakupuje na całym świecie, gdzie się da, broń.

Setki milionów dolarów inwestuje się w przemysł lotniczy, przed którym zostało postawione zadanie wyprodukowania ponad 1000 nowoczesnych samolotów wojskowych w okresie najbliższych 4 lat.

Niemcy zamówili we Francji 20 tys. rakiet zdalnie kierowanych typu SS-11, dokonały poważnych zakupów broni w Anglii, Grecji, Izraelu itd.

W szybkim tempie rozbudowują swoją marynarkę wojenną. 5 listopada 1960 r. wodował pierwszy okręt szkolnicowy NRF.

Wydatki na zbrojenia w Niemczech zachodnich rosły z roku na rok i obecnie przekraczają 40% całego budżetu.

Rośnie militarna siła Niemiec zachodnich. Na niebezpieczeństwo Bundeswehry, pozostającej w służbie odwetowych Niemiec, trzeba zwracać na każdym kroku uwagę. Musimy mieć pełną świadomość niebezpieczeństwa grożącego ze strony zremilitaryzowanych Niemiec Zachodnich.

CZY RELIGII MOŻNA SIĘ NAUCZYĆ?

MÓJ przygodny znajomy opowiadał: — Jestem wierzącym katolikiem, choćę przecież (czasem) do kościoła. W mieszkaniu jednak nie trzymam żadnych świętych obrazów, ani nawet krzyża, nie odmawiam też żadnych paciery przed snem czy przed jedzeniem. Moja niechęć do obrazów kościelnych i domowych modlitw powstała zapewne jako reakcja człowieka dojrzałego na wymuszone praktyki w latach dziecięcych. Ojciec mój — człowiek niezwykle nabożny — lubował się w świętych obrazach i wiele czasu spędzał na modlitwie w domu i w kościele, zmuszając mnie do naśladowania. Umiałem cały katechizm na pamięć, znałem też wszelkie opowieści biblijne Starego i Nowego Testamentu. Gdy sam zostałem ojcem, postanowiłem wychować swego syna inaczej. Nie uczyłem go paciery, nie wspominałem o katechizmie, nie opowiadałem historii biblijnych. Czekałem, aż pójdzie do szkoły i tam na lekcjach religii tego wszystkiego się nauczy. Był to do pewnego stopnia eksperyment. Czekałem na jego wyniki z zainteresowaniem. I otóż co się okazało? Po czterech latach uczęszczania na lekcje religii mój jedenaśmioletni syn nie tylko nie przyswoił sobie opowieści biblijnych, nie tylko nie zna katechizmu, ale nie umie paciery. Po czterech latach nauki religii mój syn nie nauczył się niczego.

Nie nauczył się religii, chociaż innych przedmiotów się nauczył, bo nie należy do złych uczniów. Czy z tego by wynikało — kończył mój rozmówca — że religii nie można się w szkole nauczyć?

Chłopiec nie nauczył się religii, bo może nie uważał na lekcjach, może nawet po prostu wagarował. Nie przywiązywał wielkiej wagi do tego przedmiotu, bo wiedział, że ojców również na tym nie bardzo zależy.

Spróbujmy dać odpowiedź na postawione w tytule pytanie. Zadanie to ułatwimy sobie przez przypomnienie, czym jest religia. Samo słowo, wzięte z łaciny, oznacza powiązanie człowieka z Bogiem. Czy takiego powiązania można się nauczyć i dostawać z niego piątki? Uważamy, że nie. Taki czy inny stopień można otrzymać za przyswojenie sobie wiadomości np. z geografii, matematyki, literatury, a nigdy za wewnętrzne przeżycia związane z myślą o Najwyższej Istocie. To prawda, że w zakres religii również wchodzi pewne wiadomości, jak historia narodu wybranego, życie Chrystusa, odmawianie paciery na pamięć, wyliczanie siedmiu sakramentów św. czy siedmiu grzechów głównych, ale te wiadomości

bez podstawy, bez wewnętrznych przeżyć, zawisają niejako w powietrzu i rychło giną bez śladu. Nawet jeżeli zdolniejszy i ambitny uczeń opanuje w szkole sporo wiadomości z zakresu religii, nie znaczy to jeszcze, że będzie człowiekiem religijnym. Historia zna wielu dobrych uczniów szkół zakonnych, którzy swe wiadomości wykorzystali w walce z religią.

Dlatego podstawą nauki religii są przeżycia wewnętrzne, osobisty kontakt człowieka z Bogiem, a nie przyswojone wiadomości. Lecz do wdrożenia do życia religijnego i do jego pogłębienia nie jest powołana szkoła ani nauczyciel religii. Jest to bowiem sfera działania rodziny i Kościoła.

Wspomniany chłopiec nie nauczył się religii przede wszystkim dlatego, że nie pomagano mu jej przeżywać w domu i w świątyni. Przykład rodziców i pouczenia mądrego księdza dają gwarancję głębokich przeżyć. Dom i kościół — to właściwa szkoła religii. Szkoła państwowa ma inne zadania.

Tę odmienną zadań szkoły i świątyń rozumiał uczony zakonnik w XII wieku, autor pierwszej Kroniki Polskiej, Gall Anonim, który pisał: „A jak zbożną jest rzeczą w kościołach głosić kazania o żywotach świętych i męczeństwach, tak chwalebny jest w szkołach i pałacach wysławiać triumfy i zwycięstwa królów i książąt; a jak żywoty świętych i ich męczeństwa, opowiadane po kościołach, skłaniają myśli wiernych ku religii, tak dzieła rycerskie i zwycięstwa królów i książąt, rozgłaszane po szkołach i zamkach, zagrzewają umysły rycerzy do dzielności.“¹⁾

Tak też pojmował sprawę nauki religii wielki reformator szkolny w Polsce w XVIII w., ks. St. Konarski, który pierwszy w dziejach polskiego szkolnictwa wprowadził globusy i mapy, ale równocześnie zarządził, by „religii uczył ksiądz prefekt w kościele w niedzielę.“²⁾

Wiadomo, że takie rozwiązanie problemu nie wszystkim się podoba. Tym, którzy twierdzą, że religii musi uczyć koniecznie szkoła — marzą się widoki utrzymania swych wpływów na terenie szkoły. Dla nich to mamy wypowiedź rzymskokatolickiego mnicha-kronikarza o tych właśnie sprawach: „Godzi się bowiem, by śludzy Boga w tych rzeczach, które dotyczą Boga, duchem posłuszni byli Bogu, zaś w tych, które są cesarza, okazywali cześć i pełnili służby książętom świata.“³⁾

1) Anonim tzw. Gall, Kronika Polska, s. 141.

2) A. Brueckner, Dzieje kultury pol., t. III, Książka i Wiedza 1958. s. 101.

3) J. w.

J. Baranowski

Gawęda Zimowa

Niech będzie pochwalony
Niech będzie pozdrowiony
Waszego domu próg.
U progu nowego roku.
Nowej Nadziei i Wiary.
Gość w dom — Bóg
W dom — moi drodzy.
Ja z gawędą do was...
Z słowem serdecznym,
Słowem przepelnionym miłością.
Jeśli z pieśnią — to mocną i piękną,
Która pomaga zwyciężać.
Troški przytłumić radością.

Zimowy, mroźny czas
Śnieg śnieży. Wtrują płatki gwiazd.
Gawędo moja zimowa.
Gawędo moja rodzinna...
Nie mały szmat drogi za nami.
Przeplatanej radością i troskami.
Ot. i kościółek
Z dala od zgiełku i gwaru.
Wstąpimy.

Cisza tutaj pogodna.
W witrażach gwiazda zaranna
W aureoli Wiary
I Nadziei.
— Byle nie jak ów „świętoszek“
Który modląc się — słucha
Gdy jego pieniąż w tackę srebrną zastuka
— „Którą nie ma

W sobie alic
Z krynicy ducha.
Ani wody żywej wiedzy.
Bo wiara ślepa i bezmyślnością
Pragnie przemycić się do nieba“ —
Choć szorstką bractw prawdą
Choć szorstkie słyszysz słowa
— „Wielkim uczuciem pieśni mojej:
Wolność dusz“ —

Dzień pełen białej zimy
Jak dobrze — gdy serce nieskąd
Czyste jak biały opłatek
Dobrze chodzić w czas zimowy
Z szczerą gawędą po świecie.
Serca — wiara obdarzyć.

Troški — śmiechem przytłumić
Spójrz: jaki świat piękny
W swojej śnieżnej zadumie
Ciepłe dobrzy i miłość
Jak czysta gwiazda w gromadzie
Śniadą modlitwą dzwoni
Wielkim uczuciem pieśni mojej:
Wolność dusz
Najświętsza Maryjo Panno!



Ucieczka do Egiptu

Po odjeździe Trzech Króli i wtedy we śnie zobaczył Anioła, który powiedział Mu, że król Herod poszukuje Dzieciątka i chce Je zabić. Święty Józef po tym ostrzeżeniu anielskim wstał na-

znow cicho było w betlem- skiej stajence Dzieiątko Je- zus usnęło na rękach Matki Najświętszej, która położyła Go w żłobku, utuliła jak naj- ciepłej i usiadłszy obok czu- wała nad Jego snem, rozwa- zając w Śwym Niepokalanym wszystkie święte i najdziw- niejsze zdarzenia, ktorých świadkiem była od niewiulu dni betlemjska stajenka: na- rodzenie Pana Jezusa, pokon- pasuszkow, i Trzech Króli. I sw. Józef przed stajenką także tej nocy długo nie spał, rozważając o dziwnym poko- nie Mędrcow oraz o dobroci i wielkości Boga. W koncu późną nocą usnął strudzony

UROCZYSTOŚĆ NAJŚWIĘTSZEJ RODZINY

Rok II Warszawa, 22. I. 1961 N. 3 (28)



Mieli wolę skłonniejszą do dobrego. Teraz nasza wola, czyli nasze chęci, są skłonniejsze do złego. Łatwiej jest człowiekowi grzeszyć, niż czynić dobrze. Dziecko chętniej psoci i czyni źle niż dobrze, szlachetnie. Pierwsi ludzie natomiast łatwiej spełniali dobro niż zło.

Byli wolni od złych pożądań i namiętności. Dzisiaj uderza w nas tyle pokus i wystarczy nieraz tylko jedna myśl niedobra, obraz nieprzyzwoity, aby wzbudzić w nas złe myśli.

Adam i Ewa tych pożądań nie mieli i ich ciało było podle- głe duchowi, a duch Panu Bogu.

Nie doznawali żadnych cierpień. Pierwsi rodzice nie choro- wali. Nigdy nic im nie dolegało. Dlatego Pismo św. miejsce ich pobytu nazywa „rajem rozkoszy“. Św. Augustyn tak pisze:

„Żył człowiek w raju... Nie doznawał żadnego niedostatku ani głodu, ani pragnienia, ani upału, ani zimna. Nic w ogóle smutnego. Prawdziwie radość wieczna płynęła z Boga, ku któ- remu pałał miłością czystego serca... Nie dręczyło zmęczenie, ani sen nie chwycił wbrew woli...“

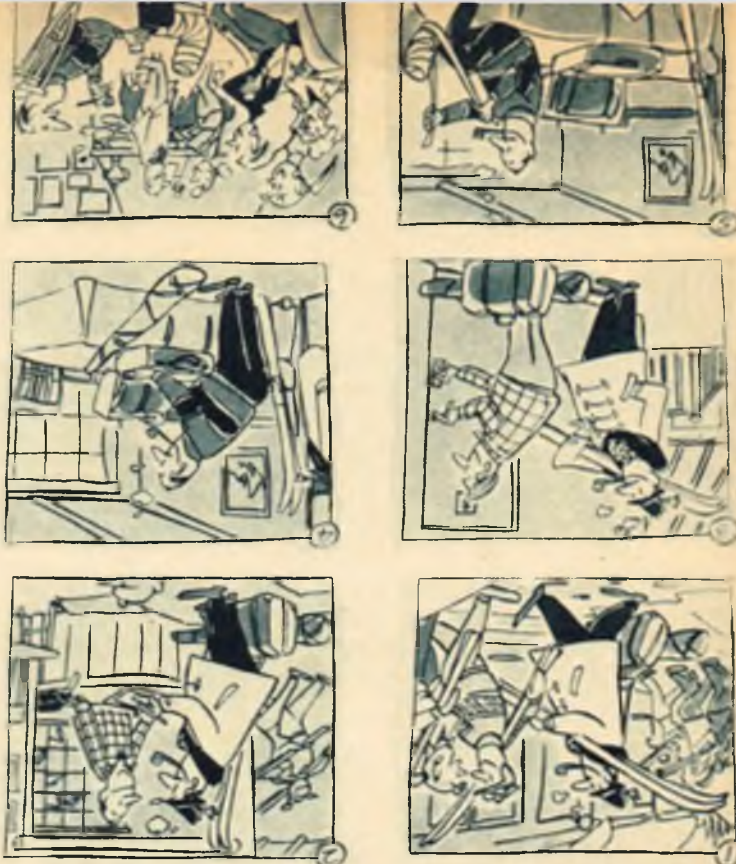
Byli nieśmiertelni. To znaczy, że nie mieli nigdy umierać. Śmierć nie była przeznaczeniem człowieka, ale życie wieczne. Pan Bóg wyraźnie mówi: „z drzewa wiadomości dobrego i złego nie jedz, bo którego dnia będziesz jadł z niego, śmiercią umrzesz...“ A więc śmierć dopiero jest zapowiedziana jako groźba, gdy pierwsi ludzie zgrzeszą.

Autor Księgi Mądrości pisze: „Bóg stworzył człowieka nie- śmiertelnym..., lecz przez nienawiść diabła weszła śmierć na okrąg ziemi...“ (Mądr. 2, 23 — 24).

Dary nadnaturalne.

Ale oprócz wielu wspaniałych przywilejów, danych od Boga naturze ludzkiej, pierwsi ludzie przed grzechem pierworodnym otrzymali jeszcze dary i przywileje szczególne, które ich wy- nosiły ponad wszelkie stworzenia.

Pierwsi ludzie otrzymali od Boga łaskę uświęcającą. Byli wolni od grzechu, byli święci. Pan Bóg darzył ich za to szcze-



Tym czasem nasz kącik rozrywek umysłowych jest bardzo łatwy. Po- tęża powiem na odgadnięcie, co poszczególny rysunek przedstawia i dlaczego wszystkie 6 rysunków zatytułowaliśmy „Przezorny narcyz“. Odpowiedz na piśmie z podaniem dokładnej adresy należy przesłać do Redakcji Tygodnika „Rodzina“, z dopiskiem na kopercie „NAR- CZY“.

Za prawidłową odpowiedź zostaną rozlosowane piękne nagrody książkowe.

Rozwiązania należy przysyłać do dnia 31 stycznia.

PRZEZORNY NARCYZ

gólną miłością i przyjaźnią. Był to największy ze wszystkich przywilejów, bo czynił ich podobnymi samym aniołom.

Mieli wszystkie cnoty. Mając łaskę uświęcającą posiadali pierwsi rodzice także i cnoty niezwykle, dane im od Pana Boga. Człowiek w stanie niewinności (w raju) posiadał wszyst- kie cnoty, jakie tylko istnieją.

Mieli prawo do nieba. Według nauki Kościoła mieli pierwsi ludzie także prawo do nieba. Albowiem według planów Bożych człowiek miał żyć wiecznie. Jeżeli zatem w planach Bożych człowiek miał żyć na wieki, zawsze, to mógł żyć albo w niebie, albo w piekle. Ponieważ pierwsi ludzie byli świę- tymi na ziemi, nie mogli zatem iść do piekła, ale z raju do nieba.

O tym, że niebo było przygotowane od początku dla ludzi mówi wyraźnie Pan Jezus: „Pójdźcie błogosławieni Ojca mego i posiadźcie Królestwo, zgotowane wam od założenia świa- ta (Mat. 25, 34).

Widzisz, jak wielki i jak piękny był kiedyś człowiek. Jeże- li on dzisiaj ma jeszcze tyle wspaniałych darów duchowych, to pomyśl, ileż musiał mieć ich wtedy, kiedy żył w stanie nie- winności? Za wszystkie dary, którymi Cię Bóg obdarzył, czę- sto dziękuj Mu w modlitwie, a w czynach wykorzystaj dane ci cnoty i zalety.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI

Z 22 NUMERU „SŁONECZKA“ BRZMI:

1) Stopa, 2) B, Osa, J, 3) Ul, Te, 4) Rak, Las, 5) As, Ci, 6) K, Tam, O, 7) Il, Ton.

Nagrody drogą losowania otrzymują: URSZULA MARKIEWICZ, Ry- manów; KAZIMIERZ ROT, Kielce; JERZY KLIMAS, Polczyn-Zdrój.

WRAŻENIA

z podróży do

KANADY⁽¹⁾



W maju 1959 r. byłem w Ameryce. Odbylem wówczas kilka konferencji z ks. biskupem dr Leonem Grochowskim, pierwszym biskupem Polskiego Narodowego Katolickiego Kościoła w Ameryce i innymi księżmi biskupami ordynariuszami, z niektórymi księżmi seniorami i księżmi proboszczami, odwiedziłem też kilka parafii narodowych. Z wizyty tej odniosłem w zasadzie pozytywne wrażenie. Jednak radość moja nie była pełna, a to głównie dlatego, że nie mogłem z przyczyn ode mnie niezależnych odwiedzić kapłanów i parafii polsko-katolickich w Kanadzie. Słyszałem zaś dużo dobrego o naszej emigracji w Kanadzie i o naszych parafiach kanadyjskich. Toteż z radością i zadowoleniem przyjąłem wpiery propozycję ks. kanonika J. Niemińskiego, proboszcza parafii św. Jana w Toronto, a potem zaproszenie Jego i Komitetu Parafialnego w Toronto do odwiedzenia tej parafii, jak i innych naszych parafii w Kanadzie; radość mą powiększył fakt, że ks. prob. Donald Malinowski z Winnipegu zaprosił mnie osobiście. Muszę też dodać, że wolę moją odwiedzenia parafii narodowych w Kanadzie

wzmocniło i sfinalizowało zaproszenie mnie na piśmie, wystosowane do ks. prob. Niemińskiego przez ks. biskupa Grochowskiego i ks. biskupa dr Tadeusza Zielińskiego z Buffalo. Ks. biskup Grochowski w liście swoim z dnia 25.VIII.60 r. pisał m. in.: „Przyjazd Księdza Biskupa Maksymiliana Rodego uważam za pożyteczny i wskazany, ponieważ do tego czasu żaden z przedstawicieli Kościoła Narodowego w Polsce nie odwiedził Kościoła naszego w Kanadzie. Będzie to również interesującą atrakcją tak dla naszych wyznawców, jak i nowoprzybyłych Polaków.

„Proszę zalać ukłony ode mnie Księdzu Biskupowi Ordynariuszowi Kościoła Narodowego w Polsce i zarazem poradzić, aby postarał się o wizę do Stanów Zjednoczonych. Przy tej sposobności Ksiądz Biskup Rode, jeżeli się będzie czuł na siłach, może odwiedzić i nasze placówki w Stanach Zjednoczonych“. Tak oto otrzymałem paszport i wizy: kanadyjską i amerykańską — 4 listopada 1960 r. w południe znalazłem się na lotnisku naszym w Warszawie-Okęcie. Kiedy jechałem samochodem na lotnisko w otoczeniu naj-

bliższej rodziny, myślałem wprawdzie o czekającej mnie dalekiej podróży, ale zmęczony i wyczerpany wzmoczoną pracą ostatnich dni, dosyć raczej krytycznie patrzyłem w przyszłość. Tymczasem... Tak, kiedy wyszedł z samochodu na Okęcie otoczyły mnie jasne, ciepłe promienie słońca i zobaczyłem niemal wszystkich moich dobrych i oddanych współpracowników i życzliwych ludzi. To był znak dobry, to wróżyło urodzajne żniwo mojej zamorskiej już drugiej podróży misyjnej. Czy wróżba się spełni? Zegnam się, załatwiam formalności i po upływie niedługiego czasu wchodząc po przystawionych schodach do czteromotorowego samolotu „Sabena“ śię żegnającym mnie serdeczne podziękowania i pożegnanie na 6 tygodni. Z małego okienka widzę jeszcze raz swoją rodzinę i żegnający mnie miły zespół z J. E. Ks. Bp. Pękala na czele.

Samolot w krótkim czasie po starcie osiągnął wysokość pięciu tysięcy metrów i pędząc z szybkością 500 km na godzinę leciał w kierunku Brukseli. Nad nami rozpozierał się czysty błękit nieba i przyjaźnie świeciło słońce. Pod nami płynęły zwały chmur, czasem bardzo zwarte i ciemniejsze, czasem jaśniejsze, postrzępione i rozgonione tak, że można było okiem spocząć na wirującej ziemi. poćwiartkowanej szachownicą pól, to znowu rzekami, jeziorami, lub miastami i miasteczkami, podobnymi do miniaturowych makiet. Im bliżej Zachodu, tym większa mgła. Lecimy jakby w mleku. Po niemal czterech godzinach lotu lądujemy w Brukseli wśród ulewnego deszczu. Jest godzina siedemnasta, dnia 4 listopada 1960 r. Brukselę znam dobrze z okresu przedwojennego

Deszcz nie pozwala jednak na przypomnienie sobie choćby krótką przechadzką miasta. Nie mogę też bliżej przyjrzeć się nowo zbudowanemu lotnisku. O godz. 19.30 wchodzę po raz pierwszy w życiu do olbrzymiego odrzutowca, jeta, Boeing 707, własność belgijskiej firmy lotniczej „Sabena“. Samolot i z zewnątrz, i z wewnątrz robi miłe wrażenie, chociaż brak śmiegiel zmusza do refleksji niekoniecznie uspokajającej, a kilkadziesiąt rządów foteli, po trzy z obu stron estetycznego wnętrza, budzi uczucie rodzenia się wcale nie tak szczupłej ilościowo a swoistej socjologicznie społeczności, która swój los poza Bogiem oddaje w ręce ekipy lotników i odrzutowemu silnikom. Startujemy z opóźnieniem, o godz. 20.30. Po próbie motorów jet (czyt. dżet) na pasie startowym z miejsca nabiera dużej szybkości i w ciągu kilku minut lekko się kołysząc wzbija się w górę, coraz wyżej, wyżej — do ok. 11.000 metrów. Odpinamy pasy. Wsluchujemy się w słowa lotników, objaśniających i demonstrujących sposób użycia na wypadek konieczności lądowania na oceanie kamizelki ratowniczej i ewentualnego użycia aparatu tlenowego, gdyby komuś dość wielka wysokość utrudniała normalną pracę serca czy płuc. Nie powiem, żeby to ćwiczenie rodziło radość i pewność, nie dawało jednak również możliwości podjęcia innej decyzji, bo najbliższym przystankiem, na którym można by w takim wypadku wsiąść, był Montreal, a do tego upragnionego portu było już niedaleko, bo coś tam ponad sześć tysięcy kilometrów.



**DOKOŃCZENIE
NA STR. 8**

Na lotnisku w Montrealu powitały Ks. Biskupa „polskie krakowianki“. Obok Ks. Biskupa Ordynariusza ks. prob. Tadeusz Powązka i p. prof. Partyka

Montreal z lotu ptaka...



WRAŻENIA Z PODRÓŻY DO KANADY

Dalszy ciąg ze str. 7

Szybko oddaliśmy się od Europy, przefrunęliśmy nad wyspą brytyjską i tylko wspomnieniem pozostały jeszcze, prawie że kilkanaście minut temu widziane w dole, na ziemi, jarzące się lampy, pióropuszem ognia ziejące kominy wyglądające jak błyskawice, to znowu latarnie ulic i neony reklamowe podobne do sznurów błyszczących pereł, lub uporządkowanych tyralier. Poprzez małe okienko patrząc w boczną dal widzę ciemnicę (o ile w ogóle widzieć można), dopiero po paru godzinach spokojnego lotu spostrzegam tu i ówdzie gwiazdy i sierp księżyca. Pod nami ciemne chmury, a jeszcze, jeszcze niżej ocean, którego już niestety w czasie tego lotu nie zobaczyłem, nawet skrawka. Po sześciu godzinach wspaniałego spokojnego lotu, widzę wreszcie pierwsze błyski świateł, w pierwz Nowej Funlandii, potem już z lądu kanadyjskiego i wreszcie upragniony Montreal i pas rzeki św. Wawrzyńca, w której odbijają odblaski świateł ponad półtoramilionowego miasta. Jest godzina 3.30 rano czasu polskiego, a 21.30 czasu kanadyjskiego. Jet schodzi coraz niżej, pochyla się raz w jedną, to znowu w drugą stronę i wreszcie siada na ziemi, od której oderwał się przed siedmiu godzinami.

Czekam w kolejce na załatwienie formalności paszportowych i rewizję celną. W pewnym momencie urzędniczka celna ku memu zdziwieniu wypowiada głośno moje nazwisko. Miła niespodzianka. Szybko i przyjemnie załatwiono wszelkie formalności. Proszą mnie do pokoju, w którym oczekuje mnie proboszcz parafii Św. Krzyża w Montrealu, ks. Tadeusz Powązka z dziewczynkami, ubranymi po krakowsku. Z rozrzewnieniem słucham miłego powitania, wypowiedzianego przez ks. prob. Powązkę i p. kierownika prof. Partykę oraz wierszyka powitalnego wypowiedzianego po polsku przez jedną z dziewczynek. Wspólna fotografia, miła rozmowa i wychodzimy, by w hallu spotkać grupę naszych parafian, którzy serdecznie witają mnie na ziemi kanadyjskiej. Jedziemy do miasta, przejeżdżamy jego główne ulice, udając się na probostwo. Po krótkim pobycie w gościnnych progach mieszkania ks. Powązki, wracamy na lotnisko. Jest godzina 1 w nocy, dnia 5 listopada 1960 r., czasu kanadyjskiego (w Polsce godzina 7 rano — 5.XI). Siadam do samolotu kanadyjskiego i udaję się do Toronto, pierwszego celu mojej podróży.



Fragment poświęcenia nowo odbudowanego kościoła św. Trójcy w Throop, Pa



Główny ołtarz kościoła w Throop, Pa

Komitet uroczystości poświęcenia odbudowanego kościoła



Z Ż
PAR

Wiadomość wprowadziła miła. Piszemy o tym dla Kościoła i parafii, sympatię dla jej proboszcza. Był tu przed dwoma laty, a kiedy powrócił do swego domu, pamięta i my też pamiętamy.

1 stycznia 1957 r. Pierwszego Narodowego w Ameryce, walczył ks. F. Banasia, proboszcz w Dickson City, Pa., w Trójcy.

Włożył on wiele serca w tę nieliczną, ale żywą grupę, w czasie ożywił życie religijne, tego głęboko przeżyli parafianie, fakt, gdy w dniu 22 lutego 1957 r. spłonął ich kościół, a on i jego parafianie, a oni pracowali. Nie szc...



Chór

CIA KOŚCIOŁA W USA

IA P. W. ŚW. TRÓJCY W THROOP, PA

późniona, ale przyjemna nie tylko przez życzliwość Św. Trójcy, lecz i przez namy go prawie wszyscy. dlił się z nami, pracował, pamiętał o nas i nadal o Nim i mile Go wspo-

Biskup Polskiego Kościoła Leon Grochowski mianował parafii Św. Wojciecha nistratorem parafii Św.

rodzięcego entuzjazmu rafię. W ciągu krótkiego gospodarce parafii. Dla nie ze swym proboszczem 9 r. z niewiadomych przy- Bóg czuwał nad tą gro- m. Czuwał i błogosławił, i wysiłku ani grosza. Są-

siednie parafie i dalsze przyszły im z pomocą. Toteż gdy w dniu 18 września 1960 r. rozdzwonił się dzwon zwołujący wiernych na poświęcenie kościoła, którego dokonał J. E. ks. Biskup Leon Grochowski, były im serca i twarze jaśniały radością.

35 tysięcy dolarów — tyle kosztowała budowa — nie przychodzi łatwo i w Ameryce. Tym bardziej w tak krótkim czasie.

Znowu gromadzi się w świątyni lud co niedzielę i znowu rozbrzmiewa hymn wiary i nadziei: „Do Ciebie przyszlیم, Boże nasz”.

Radzi jesteśmy, że Bóg daje Kościołowi naszemu dobrych, dzielnych i ofiarnych kapłanów. Tym bardziej radzi jesteśmy, że ks. proboszcz F. Banaś, mimo że się urodził w Ameryce, zachował serce polskie.

Życzymy Ks. Proboszczowi i dzielnym Narodowcom z Throop, Pa. dalszych sukcesów w pracy dla dobra Kościoła z wiarą i nadzieją, że ich żywe serca będą prawdziwym pomostem między Kościołem w Ameryce i w Polsce.



Ks. FRYDERYK BANAS — proboszcz parafii



Splewacy Zjednoczonych Chórów Pierwszego Koła w Scranton, Pa

nia" w parafii Dickson City, Pa





Fakt coraz częstszych samobójstw w ostatnim okresie w całym cywilizowanym świecie nie może nie budzić refleksji. Nie ma bowiem skutku bez przyczyny. Słabym systemem nerwowym ludzi młodszego pokolenia nie można wyjaśnić tego niepokojącego zjawiska.

Różne są motywy tragicznych decyzji. Jest jednak coś wspólnego, zasadniczego, co ma bezpośredni wpływ na jej podjęcie.

Na ogół człowiek jest przywiązany do życia. Mimo zmagania, cierpienia i walki o byt, mimo różnych przeciwności trzyma się go kurczowo. Rezygnacja z życia nie przychodzi łatwo. Często ludzie za wszelką cenę pragną przedłużyć nie życie, która jakby się przedła z czarodziejskiej kadzieli.

Iluż ludzi upodliło się, poświęciło setki istnień, byle swoje nędzne życie uchronić.

Dlatego zagadnienie rezygnacji z życia interesuje nie tylko psychologów, socjologów czy kryminologów. Interesuje wszystkich myślących i wierzących ludzi.

Jak zaznaczyliśmy motywacje są różne, ale wspólny jest tragiczny finał.

Amerykańscy badacze tego zagadnienia w pracy zbiorowej pt. „Clues to suicide”, New York, 1957 r. pod redakcją S. Sheidemana i L. Normana obok samobójstw anomicznych (klęski ekonomiczne) i egoistycznych, uwzględniają jeszcze samobójstwa altruistyczne. Pozbawienie się życia w przekonaniu samobójcy-altruisty jest korzystne dla innych, a dla niego stanowi szlachetne wyjście z trudnej sytuacji. Długotrwały proces zahurzeń w zakresie uczuć i woli wtrąca go w stan psychopatologicznej depresji, urojeń prześladowczych, omamów. Najmniejszy wstrząs wzruszeniowy lub drobne niepowodzenie błyskawicznie wyzwala ją w scharżalej umysłowości samobójcy in spe nieodpartą chęć śmierci dla uzyskania „spokoju i wiecznej ciszy”, które przypominają hudeistyczną naukę o nirwanie. Potwierdzeniem teorii o samobójstwach altruistycznych jest przypa-

dek, jaki zdarzył się we wsi N. pow. łódzkiego, oraz list innego samobójcy. Pewien zamożny gospodarz w tej wsi chorował na nerwicę reaktywną. Wszyscy pospolicie przezywali go „nerwis”, bo często lubił nakrzyżdeć i zgromić za byle błahostkę. Pojechał kłedyś do miasta po zakupy i przepił 200 zł. W domu żona zrobiła mu ostre wymówki. Denat całą noc siedział pod piecem, palił papierosa, następnie włożył czystą białiznę, poszedł na strych i tam się powiesił. (W. Grzywo-Dąbrowski: Alkoholizm a samobójstwa.) Nie da się zaprzeczyć, że sfera hodźców skłaniających do samobójstwa jest dość rozległa, a przy tym ogarnia różne zakresy zjawisk socjologicznych. W Stanach Zjednoczonym niepokojącym zjawiskiem jest

urbanizacja i postępujący zanik stosunków sąsiedzkich w mieście. Minimalny udział jednostki w życiu społecznym i kryzys autorytetów moralnych, które skapitulowały przed „filozofią” dolara i businessmanem – zdaniem uczonych amerykańskich – w poważnym stopniu wzmacniają i dopingują hodźce skłaniające do samobójstwa. Centrum tej sfery hodźców jest zawężone do chorób somatycznych, alkoholizmu, trwałego kalectwa, nieporozumień rodzinnych oraz do takich cech charakterologicznych jak: próżność, chorobliwa zazdrość, u kobiet – obawa przed zniesławieniem i nieraz brak możliwości połączenia się na stałe z ukochanym. Paranoja alkoholo-wa przeciętnie w 10% stanowi nieodłączną część samobójstwa i schorzeń umysłowych u samobójców.

„Tak się złożyło, że muszę od Was, droga Rodzino, odejść – (cytuję pożegnalny list samobójcy – paranoica). Naj-główniejszą przyczyną to ostatnie moje pijaństwo. W ostatnich dniach dostałem tzw. „szalu pijackiego”, który całkowicie mnie opanował. Nie chcę się tulać już więcej po pijanemu, chcę śmierci samobójczej.“

Pożeganie z życiem wywołuje obrazy przeszłości. W nich samobójca szuka ostatniego przeblysku radości i otuchy. „Pamiętam, jako młody chłopiec w 1945 r. po wyzwoleniu pilnowałem z hronią w rękę mostu w Makowie, gdzie trzykrotnie Niemcy napierali na most, nie ulekłem się, bronilem do ostatniej chwili, tj. do zwycięstwa. A teraz odczuwam mocne bicie serca i lekką zawrót głowy. Potem myśli strzępią się, gubią w chaosie. Przed chwilą przejechał poelag, lecz nie pod ten się po-łoże...“

„Droga Mamusiu, Ojczy, Siostrzy i Bracie – nie gniewajcie się na mnie – tak musiałem postąpić. Nie miałem wyjścia z tej opresji pijackiej. Wiem, że przeżyjecie to boleśnie, lecz trudno. muszę zginać. Wasz syn Józek.“

U paranoika budzi się lek, że po „cudnych” chwilach pijackiej ekstazy musi nastąpić powrót do codziennego życia. Wraca do życia w nastroju pesymistycznym, ze znacznie osłabionym zmysłem krytycyzmu. Te powroty trwają

do momentu całkowitej depresji i bezwładu myślowego, gdy idea samobójstwa nabiera cech maniackalnych.

W przekonaniu samobójcy czymś swoim może on sprawić przemijającą boleść rodzinie, ale sobie sprawi „ulgę” wyzwalać się od ziemskich trosk i kłopotów.

Egocentryczne nawyki i skłonności utrudniają mu zrozumienie szkodliwości społecznej swego czynu. „Prawie nigdy nie zastanawia się on, że samobójstwo jest sprzeczne z porządkiem boskim i ziemskim, z prawami natury o zachowaniu gatunku“. (Clues to suicide, rozprawa Wahla).

W wyniku dokonanego samobójstwa społeczeństwo traci jednostkę mniej lub więcej wartościową, uhożeje. Czyn samobójczy dezorganizuje życie w środowisku lub otoczeniu, obniża także celowość pracy idealów i wysiłków twórczych. Samobójstwa, pojmowane jako protest lub veto jednostki skłóconej z panującym porządkiem, wnosi ze sobą powiew anarchii i amoralności społecznej. Charakterystyczne, że postawa taka cechuje m. in. dzieci dokonujące zamachów samobójczych, które popełniają ten czyn w przekonaniu „ja się zabiję, a oni się będą martwić“. „rzucę się pod samochód, niech widzą, że ich nie cierpię“ (Clues to suicide – rozprawa Bennetta)

„Przejsię między skłonnością do samobójstwa a pociągami do zabijania może być nieznaczne“ – zauważa W. Grzywo-Dąbrowski (Samobójstwa rozszerzone w Warszawie). Tezę tę potwierdzają wielokrotnie notowane wypadki wymordowania całej rodziny przez małżonka-samobójcę.

Twierdzą niektórzy, że człowiek jest tylko wysoko zorganizowaną materią, inteligentnym ssakiem. Należy jednak stwierdzić, że wśród wszystkich ssaków poza człowiekiem z samobójstwem się nie spotykamy. Odwrotnie, działa wśród nich bardzo mocno rozwinięty instynkt samozachowawczy.

Dalszy ciąg w następnym numerze



Szymon Bogusławski, uczeń 8 klasy gimnazjum, odwiedza swojego profesora łaciny Starczyńskiego. Mówi mu o swoich zamiarach i konfliktach i szuka u niego pomocy. W duszy profesora odżywiają wspomnienia jego młodości. Seminarium duchowne, miłość, dramat wewnętrzny i rezygnacja ze stanu duchownego — oto fragmenty jego życia.

Starczyński cieszący się szacunkiem w małym mieście utrzymuje kontakt towarzyski z inteligencją, w tym i z miejscowym proboszczem. Na jednej z proszonych kolacji na plebanii ksiądz proboszcz dzieli się z zebranymi przyjaciółmi refleksjami po 40 latach kapłaństwa. Mówi o wielkiej rozpiętości między ideałem kapłaństwa a codzienną rzeczywistością, mówi o stosunkach między duchownymi i hierarchią kościelną, które często są zaprzeczeniem Chrystusowego ideału kapłaństwa. Należy zreformować wychowanie kapłaństwa. Duchowny ma być nie tylko kapłanem, ale i pełnym człowiekiem związanym z życiem swego narodu, z rodziną i ojczyzną. Oto wniosek, jaki można wyciągnąć ze słów starego duszpasterza. Starczyński lubił przejażdżki sankami. W czasie jednego ze spacerów sankami spotkał siostry zakonne, które zbierały ofiary na klasztor. Podczas rozmowy z zakonnicami dopytywał się o siostrę Leontynę, która znał przed kilku laty jako Wisławę Różańską. Obudziły się w nim wspomnienia. To on winien, że przywdziała habit, że znalazła się w klasztorze. Jego wstąpienie do seminarium zaważyło na jej życiu.

Dowiadujemy się później, że siostra Leontyna, mimo kilkuletniego pobytu w klasztorze nadal żywi dla niego gorące uczucie. Czuje bowiem, że jest stworzona do macierzyństwa, do zwykłej ludzkiej miłości, aby jako żona i matka zachowywać prawo Boskie być pożyteczną dla Ojczyzny i Kościoła.

Pełna duchowej rozterki zwierza się kapłanowi na spowiedzi, który udziela jej rady.

O północy wszyscy z wyjątkiem pani domu byli na paserce. Już od lat Bogusławscy dbali o to, by być na tej tak wzniosłej i świętej uroczystości. Szła zawsze cała rodzina, wyjąwszy ojca, względnie matkę, którzy kolejno się zmieniali. W tym roku kolej pozostania w domu wypadła na panią Marię.

Zwykle o tej porze nocy spokojne miasto Przemysławice żyło życiem dnia. Ulice pełne były ludzi zdążających do kościoła. Noc pogodna i jasna. Gwiazdy zdawały się jaśniej świecić, jak gdyby czerpały swą świetlaną siłę od gorejącej gwiazdy, wiszącej nad szopą betlejemską.

*

Hieronim Starczyński spędzał noc wigilijną z ojcem. Po spożyciu we dwóch wieczerzy — przenieśli się do małego ogrzanego pokoiku, na wygodne fotele i przegrzając pierniki, cukierki, ciastka i popijając wino rozmawiali.

— Nie, ja nie pojedę w święta do Przemysławic — powiedział w pewnym momencie Hieronim. — Nie pojedę, ojcze, do niej. Muszę pozostać przy tobie. Ty jeden byłeś mi wierny cały czas. Ty jeden byłeś i jesteś mi najdroższy, aczkolwiek nie chciałeś mi wówczas służyć swoją radą z powodu dla mnie całkowicie zrozumiałego. Ty jesteś moją ostoją. Teraz mieszkasz tu sam, jako ten szczery pustelnik. Ja muszę z tobą spędzić te święta. Ona, nie wiem zresztą, czy ja ją kocham, niech na mnie poczeka, albo, albo...

Nie dokończył zdania, bo przerwał mu ojciec pytaniem:

— Co, albo?... — i pośpiesznie dodał: tylko mój synu, nie decyduj zbyt pochopnie. Ona cię naprawdę kocha. Zrobiła na mnie jak najlepsze wrażenie. Wydaje się być solidną, miłą i rozsądną, a przy tym wyładniała ogólnie. Jeśli wówczas nie zabierałem głosu w sprawie wyboru stanu, to dzisiaj jednak swojej rady tobie nie odmówię.

Dziś już nie jestem skrępowany tym nieszczęśliwym testamentem twojej matki, a mojej kochanej i zacnej świętej pamięci małżonki. Moim zdaniem powinieneś do Wisławy

pojechać. Z nią się zobaczyć, porozmawiać, a decyzję taką czy inną — powziąć dopiero po dłuższym zastanowieniu się i obserwacji, a nie teraz, na odległość.

— Tak, mój drogi ojcze, ale aczkolwiek czuję, iż nie zupełnie zamarły we mnie dawne do niej uczucia, to jednak trudno mi będzie zapomnieć jej wstąpienie do klasztoru. Zostawiła mnie wówczas samego. W jednej chwili pozrywała wszystkie nici, jakimi byliśmy związani przez dość długi czas naszej przyjaźni. Nie poradziła się mnie. Nie omówiła ze mną swej decyzji. Tę nieszczęsną decyzję tylko mi zakomunikowała i uciekła, dosłownie uciekła ode mnie.

— To wszystko doskonale rozumiem, ale mogła tak postąpić w najlepszej wierze według niej, dla twojego dobra. Jesteś, zdaje mi się, zbyt surowy. Jak tobie już mówiłem, nie przychodzi ona teraz do ciebie po zmiłowanie, ona dzięki własnej pracy już czymś jest. Jest samodzielna, samowystarczalna i teraz, dopiero po roku, jako zupełnie niezależna kobieta nie tylko się przypomina, ale dowiedziawszy się o tym, że jesteś wolny — przyjechała do ciebie. Czy sądzić ją można o jakieś złe zamiary? Broń Boże! Ona, kobieta jak łania, mogła już sobie męża znaleźć, a jednak szuka ciebie. Mój drogi, jedź do niej, jedź jutro, bo będziesz się później znowu gryzł i niepotrzebnie wiać.

Hieronim nie odpowiedział nic. Starał się zmienić temat. Zobaczywszy jednak rysujące się na twarzy swego ojca z troskanie i przygnębienie, przyrzekł zastanowić się nad całą sprawą.

— Teraz jednak — stwierdził — czas już na spoczynek.

Hieronimowi jakoś jednak sen długo nie zdołał zamknąć oczu. Wyobraźnia stale przywodziła mu obraz Wisławy. Widział ją w tej letniej, obcistej sukience jako uczennicę gimnazjalną. Poczł nagle jej ciepłe ręce i pocałunek, zło-



zony na jego czole, pocałunek pożegnania. Odruchowo dotknął ręką czoła, jakby się chciał przekonać czy wilgoć jej warg jeszcze tam się znajduje. Wreszcie zadał sobie pytanie:

— Co też teraz ona robi, gdzie zamieszkała? Czy śpi? Jeśli tak, o czym śni? Jeśli nie śpi, o czym myśli?

*

Wisława już od pół godziny męczyła się w łóżku, w przeznaczonym dla Szymona pokoiku na poddaszu nowego domu Bogusławskich. Nie mogła zasnąć mimo przemęczenia podróżą i późnej już pory.

Co chwila inny szczegół Hieronima zjawiał się w jej wyobraźni i napawał ją rozkoszą. To zachwycała się jego postacią. To nosem. To pieściła jego włosy. To wreszcie cała tuliła się do jego dobrze zbudowanej, muskularnej postaci, dotykała jego ciała. Odtworzyła sobie dokładnie Hieronima w kostiumie kąpielowym, widziała go bowiem w nim jeszcze w czasach gimnazjalnych. Myśląc o Hieronimie cała drżała z upojenia i rozkoszy. Było jej nadzwyczaj dobrze. O wszystkich i wszystkim zapomniała. On i tylko on stał, właściwie leżał przy niej, tuż, tuż obok. Nagle zjawiły się myśli powątpiewania.

— Czy on przyjedzie? Czy on mnie kocha? A może on nie do ojca pojechał, a do swojej kochanki? Nie, nie — odpowiedziała sobie szybko — to niemożliwe! On przyjedzie. Jutro, już jutro go zobaczę, a właściwie dzisiaj, tak, dzisiaj, boć to już dawno po północy, pierwsze święto — zreflektowała się. Ja jestem czysta, nietknięta — dumiała już w na pół sennym upojeniu i jakby chcąc to namacalnie stwierdzić, przesunęła wolno ręką po całym swym ciele, począwszy od kolan, a zatrzymawszy się na twardych i okrągłych jak kształtne jabłuszka — piersiach. Wszystko to zostawiła dla niego. Dla niego strzegłam i jemu, tylko jemu

oddam. Nawet te siedem lat męczarni klasztornych przebyłam dla niego. Nawet włosy dałam sobie ściąć dla niego, a teraz mam lepsze, bujniejsze. Ale czy on, czy on również dochował mi wierności? Czy może mnie zdradzał? Ufam, że nie. A jeśli tak? — No trudno, nie jego to, a moja ostatecznie wina, bo nie on, a ja uciekłam od niego. Ale przyjedzie, przyjedzie na pewno!

Zmęczona, rozpalona i spragniona zasnęła wreszcie.

★

Pierwszy dzień świąt mroźny, ale pogodny, słoneczny.

Wisława wstała około południa. Ledwo zdążyła się ubrać na obiad. Wstała wprawdzie wycoczęta, ale bardzo niespokojna. Przy obiedzie rozglądała się nerwowo i podejrzliwie. Nie uszło to uwagi Bogusławskiej, spytała więc Wisławę troskliwie o jej zdrowie, ale otrzymawszy pomyślną odpowiedź zaniechała dalszych pytań. Nie chciała być natrętna.

W pewnej chwili Szymon zapytał, czy by nie zechciała po południu zobaczyć miasta, bo przecież jest tu po raz pierwszy. Różańska zgodziła się od razu na tę propozycję, a przy tej okazji powiedziała kilka ogólnikowych zdań o sobie. Poza tym dziękowała za nadszkodzenie serdeczne i gościnne przyjęcie, zapewniając o swej wdzięczności. Powiedziała również, że gdyby profesor Starczyński w najbliższych dniach nie przyjechał, ona wyjedzie, i zostawi tylko list dla niego, ale dodała zaraz, iż jest pewna, że dzisiaj, a najdalej jutro pan profesor się zjawi. W myśli jednak równocześnie zamętkowała się, przypomniała bowiem sobie, że przecież ojciec Hieronima nic jej nie mówił o jego przyjeździe na święta, czyżby to przed nią krył?

Przechadzka nie trwała długo. Zbyt było zimno. Zaledwie doszli do głównej ulicy, Szymon zaproponował kawę z ciastkiem. Wisława i na tę propozycję chętnie się zgodziła. Towarzystwo Szymona było dla niej bardzo miłe. Szymon ubrany był w dobrze uszyty garnitur, biały, sztywny kołnierzyk z czerwonym krawatem, przecinanym białymi paskami. Podziwiała go już w czasie obiadu. Brązowy, sportowy płaszcz leżał na nim bardzo dobrze. Do kompletu zielona, acz już mocno wypłowiała, czapka gimnazjalna. Policzki lekko zarumienione od mrozu. Ale spotkanie przy kawie Szymon chciał dla siebie wykorzystać. Było dla niego niespodzianką zjawienie się jakiejś kobiety, niby narzeczonej jego zaufanego profesora. Fakt ten zaintrygował go.

W mieście Przemysławice było kilka kawiarenek. Dwie jednak z nich tylko odpowiadały elementarnym wymogom inteligencji miejscowej. Do jednej z nich chodziło stale dwóch profesorów gimnazjalnych, nie znalazłbyś więc tam żadnego ucznia, za to w kawiarni drugiej młodzież należała do stałych bywalców. Zresztą gospodarz miał do ich dyspozycji jeden ze swoich prywatnych pokoi. Uczniowie jednak, gdy nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo ze strony profesorów, na przykład w czasie ferii, woleli siedzieć i pić kawę, zajadając smaczne ciastka, a czasem zamiast kawy popijać dobry likier, lub ulubioną wiśniówkę w sali kawiarnianej. Znajdowały się tam wygodne kanapki o wspólnych wysokich ścianach, jak gdyby murach. Podobne były te oddziały do samodzielnych pokoi, posiadających trzy stale ściany, czwartą zaś stanowiła ruchoma zasłona. W tak zaimprovizowanych pokojach zmieścić mogło się wygodnie 6 osób.

Szymon bywał tu rzadko. Gospodarz jednak znał go. Gdy wszedł z panną Wisławą, elegancko i pięknie wystro-

joną młodą damą, gospodarz serdecznie go powitał i wskazał od razu najwygodniejszy pokój. Ze zdumieniem zauważył Szymon, po odsunięciu zasłony, iż siedzą tam już znani jemu z koleżeńskich bibek studenci i studentki. Skłonili się wszyscy i wstali, ze zdumieniem patrząc na tę nieznaną pannę w towarzystwie Szymona. Szymon cofnął się i wybrał inny pokój. Gospodarz trochę się zmieszał. Szymon był pewny, że jego koleżanki i koledzy snują już na temat jego osoby fantastyczne domysły i plotki i że dostanie się na ich ostre języki na najbliższą, nie wiadomo jak długo trwającą, przyszłość.

— Ja bardzo lubię narzeczonego pani, a mojego profesora i wychowawcę. Mam do niego pełne zaufanie. Byłem nawet u niego w mieszkaniu prywatnym na ważnej i poufnej rozmowie. Przynależ mi dalszą. Mówiliśmy o zagadnieniach kościelno-teologicznych. Tylko mimo wszystko — zauważył Szymon — pan profesor wydaje mi się mocno tajemniczy, smętny, jakby był z czegoś mocno i trwale niezadowolony. Ostatnio byłem w jego mieszkaniu w wigilię i chciałem po odbyciu rozmowy prosić go do nas na wieczór i poświęcenie domu, ale niestety nie zastałem go. Bolałem na tym jakiś czas, ale później zrozumiałem, że przecież jego synowski obowiązek jest spędzić właśnie to najbardziej rodzinne święto ze swoim ojcem. Bo matka jego umarła już. Mówi o niej zawsze z szacunkiem, przepojonym jednak, tak mi się wydaje, jakimś niepokojem, lękiem.

Wisława słuchała z zaciekawieniem jego słów. Tu jednak wtrąciła się, a sądząc, że Szymon, jeśli nie wszystko, to dużo wie o przeszłości Starczyńskiego, bez ogródek opowiedziała mu o testamentie matki profesora, o jego wykonaniu — nic nie wspominając o sobie. Ale w wywodach swoich poszła zbyt daleko, więc Szymon zapytał:

— A pani dawno zna pana profesora?

— O tak — odpowiedziała — jeszcze z czasów gimnazjalnych.

— Czy pani — pytał dalej — widzi ostatnio u pana profesora tajemniczość i niepokój, o których już wspominałem?

— Nie, odrzekła, nie.

Wolnym ruchem podniosła filiżankę i piła aromatyczną, ciepłą kawę. I Szymon zamilkł na chwilę, popił kawę i znów zadał pytanie:

— Pani już dawno nie widziała pana profesora?

— O, dawno.

— Czy kilka lat? — pytał coraz natarczywiej, bo coś tu wydało mu się niejasne. Nie odpowiedziała.

— Przepraszam bardzo, że jeszcze będę pytać, ale mnie pan profesor ogromnie interesuje: — jak podobają się pani listy pana profesora? Czy przelewa on w nie dużo filozofii? Czy dyskutuje z panią na tematy życia duchowieństwa, życia klasztornego?

— Widzę — rzekł nagle, że panią tymi pytaniami nudzę, więc już nie będę pytać.

Wisława chciała temu ze spokojem zaprotestować, ale już po pierwszym słowie „nie“ głos jej się załamał, łzy nabiegły do oczu. Sięgnęła po chustkę, schyliwszy się schowała w nią swoją naturalnie piękną, lekko rumianą twarz. Szymonowi zrobiło się przykro. Był przekonany, że wyrządził jej jakąś wielką przykrość. Począł przeproszać.

— No, idźmy już — rzekła wreszcie Wisława. Zimowe powietrze orzeźwiło oboje. Wisława twierdząc, iż jest chora poszła wcześniej do swego pokoju.

Jednak nie przyjechał. Nawet telegramu nie przysłał, a zresztą do kogo miał przysłać! Może nie sądził, że ja tu do niego rzeczywiście przyjadę? — myślała. — O, ja nie szczęśliwa! On mnie nie rozumie. Nie czuje mojej miłości. Jestem już cała jego, a on ani odrobiny tego nie wyczuwa.

Lzy płynęły po jej twarzy.

A może, może on rzeczywiście ma inną.

I tu nagle przypomniała sobie sen ostatniej nocy. Widziała go w pokoju jakiejś bezwstydnej kobiety — dlaczego zaraz bezwstydnej — dorzuciła sobie po chwili — może ją kocha, może się kochają? — Wpierw siedzieli na fotelikach przy niedużym stoliczku zastawionym dymiącą herbatą. Potem, potem... nawet myśleć nie mogą, położyli się na leżance, obficie obłożonej poduszkami, wyszywanyymi w piękne wzory...



BŁOGOSŁAWIONY TRUD

*Drewnne żale – próżny trud,
Bezsilne ztorzeczenia!
Przeżytych kształtów żaden cud
Nie wróci do istnienia.*

(Adam Asnyk)

Samuel Butler w „Powrocie do Erewhonu” opisuje, jak pewien podróżnik – niejaki Higgs – znalazł się w nieznanym kraju, z którego później uciekł balonem. Gdy po dwudziestu latach zjawiał się ponownie w tym kraju, istniała tu już nowa religia nakazująca cześć – Higgosa – jako Syna Słońca, który wstąpił do nieba. Wszystko to sprawiła jego podróż balonem, co w oczach tubylców stanowiło rzecz niezwykłą.

W przeddzień święta „wniebowstąpienia” Higgs miał możliwość usłyszeć, jak profesorowie Hanky i Panky – arcykapłani religii Syna Słońca – rozmawiali między sobą; ani jeden, ani drugi Higgosa nigdy nie oglądali, a także wcale im na tym nie zależało. Słyszając ich rozmowę, Higgs zwrócił się do arcykapłanów z propozycją wyjaśnienia ludowi tej cudownej historii z jego rzekomym „wniebowstąpieniem” i chciał przedstawić się jako zwykły człowiek. Arcykapłani jednak sprzeciwili się temu.

„Nie powinien pan tego czynić, ponieważ moralność naszego kraju jest ściśle związana z tym mitem i gdyby pewnego dnia Erewhańczycy dowiedzieli się, że nie wstąpił pan do nieba, staliby się wszyscy zlymi”.

Butler w swoim „Powrocie” oczywiście robi aluzję do religii chrześcijańskiej. Uważa, że religia jest hamulcem moralnym, powstrzymującym człowieka od złych czynów i grzechu. Ośmiesza duchownych, którzy – sami nie wierząc w to, co głoszą – otaczają skądinąd naturalne zjawiska nimbem cudowności, gdy mówią o nich ludowi. Trudno wierzącym zgodzić się z twierdzeniem, że religia to jedynie „haszysz”, czy hamulec złych skłonności ludzkich. Natomiast wydaje się słuszna krytyka sztucznej cudowności. Powstaje bowiem podejrzenie, że religię jej przedstawiciele pragną wykorzystać dla swoich całkiem przyziemnych celów.

Przypomina się historia z kapłanami egipskimi, którzy zaćmienie słońca przedstawiali ludowi jako przejaw gniewu Bożego. Pięknie opisał to Bolesław Prus w powieści pt. „Faraon”. Jezus Chrystus działając na ziemi czynił cuda, ale nie miały one na celu olśnienia tych, wśród których żył i nauczał. Przestrzegał nawet, aby nie opowiadać o tym „co się stało”, ponieważ nie chodziło Mu o tani rozgłos cudotwórcy. Jego cuda miały źródło w Boskim Sercu, które – wrażliwe na ludzkie cierpienie i niedolę – skłaniało Go do zawieszania praw przyrody dla ludzkiego dobra. Cuda Jego od przemiany wody w wino na weselu w Kanie Galilejskiej, co się stało za wstawiennictwem Jego Matki, do wskrzeszenia młodzieńca z Naim świadczą o miłości Boga do jakże grzesznego i upadającego człowieka.

Chrystus Pan polecił człowiekowi w trudzie i znoju iść przez życie, bez oglądania się na cudowne wydarzenia. Pismo Święte powiada, że kto nie chce pracować, ten niech nie je. A więc naszą pracą mamy sobie ziemię „czynić poddaną”. Oczekiwanie manny z nieba jest obce duchowi chrystianizmu.

Religia chrześcijańska nie jest „haszyszem” ani „straszakiem” dla wierzących. Jest natomiast bodźcem do aktywnego działania, do budowania już tu na ziemi królestwa Bożego. Czyste, nieskażone chrześcijaństwo stanowi ważną siłę motoryczną dla tych wszystkich, którzy cel swego istnienia tu na ziemi wiążą z zamiarami i działaniem Wiecznego Boga. Modlitwa i praca, miłość Boga i bliźniego – czyż to nie wspaniałe ideały?



Był czas, kiedy Kościół zapomniał o swoim posłannictwie, kiedy karmił wiernych nie czystą nauką zaczerpniętą z Ewangelii, lecz cudownymi historiami, które osłabiały chęć działania i utrzymywały lud wierzący w ciemności i zacofaniu. Zamiast twórczej pracy dla chwały Bożej i dla własnego dobra upatrywano ideał życia chrześcijańskiego w odosobnieniu, ascezie, pokorze i modlitwie.

Dziś także są arcykapłani tego rodzaju jak Hanky i Panky, którzy uważają, że religia otoczona nimbem cudowności jest bardziej „atrakcyjna” dla ludzi.

Przedstawiciele religii chrześcijańskiej winni podać czystą naukę Chrystusa o miłości Boga i braterstwie ludzi, wolną od ludzkich naleciałości i względów koniunkturalnych.

Kościół Polsko-Katolicki na swym sztandarcie wypisał hasło: „Prawdą – Walką – Pracą – zwyciężymy”. Te słowa są rękojmią jego przydatności społecznej, świadczą o tym, że jest on wrośnięty w konkretną rzeczywistość. Głoszenie nieskażonej Prawdy Ewangelii, walka o jej realizację, praca nad uświęceniem i zbawieniem człowieka – to naczelne zadanie Kościoła.

Kapłan Polsko-Katolicki nie może siedzieć z założonymi rękoma w oczekiwaniu na ofiary wiernych. Pośredniczy on pomiędzy Bogiem i ludźmi, i jest jednym z nich. Razem z nimi walczy, pracuje dla dobra społecznego, bez powoływania się na jakiś „cudowny mandat” poza świętym charakterem funkcji, jaką pełni w Kościele.

Wielu ludziom jakoś odpowiada „klasyczny” typ kapłana – konserwatysty, pozbawionego twórczej myśli, po prostu jakiegoś bezdusznego „urzędnika”. U ludzi takich nie nastąpiło jeszcze przebudzenie, tkwią w starych nawykach i bronią się przed wszystkim, co może zmienić zatęchłą atmosferę w sprawach religii i Kościoła. Działa tu siła przyzwyczajenia. Są jednak ludzie świeccy i kapłani, którzy czują potrzebę zmiany na lepsze.

Przypomina się tu fragment „Pamiętników wiejskiego proboszcza” Georges Bernanosa, w którym proboszcz na zapadłej wiosce we Francji zapisuje takie gorzkie słowa: „Są myśli, których nie śmiem powierzyć nikomu, a przecież nie wydają mi się szalone, wcale nie. Czym byłbym na przykład, gdybym zdecydował się na rolę, w jakiej chciałoby mnie widzieć wielu katolików, zajętych przede wszystkim konserwacją społeczeństwa, co w gruncie rzeczy oznacza ich własną konserwację? Och, nie oskarżam ich o obłudę, uważam ich za szczerych. Iluż to ludzi ma się za strażników porządku, a bronią tylko przyzwyczajęń, a czasem nawet zwykłych frazesów o słowach tak wygładzonych, zżartych przez użycie, że usprawiedliwiają wszystko, niczego nigdy nie kwestionując. Jest to jedna z najbardziej niezrozumiałych ludzkich ułomności...” Takie są wynurzenia rzymskokatolickiego księdza bohatera książki Bernanosa.

Misja naszego Kościoła polega na wskazaniu wiernym Kość. P. kat. jak „opleśniałej pozbyć się kory”, jak łączyć harmonijnie sprawy ziemskie z niebiańskimi, jak być dobrym katolikiem i dobrym Polakiem, miłującym prawdziwie swoją Ojczyznę. Kościół nasz nie powołuje się na cudowne zjawiska, które miałyby potwierdzać słuszność jego działania. Nie potrzebna też mu żadna fałszerska „Donatio Constantini”, aby uzasadnić swój byt. Kościół Polsko-Katolicki wierzy w moc Ewangelii, wierzy w cuda zdziałane przez Chrystusa i za Jego sprawą. Metod swego działania nie opiera na przeżytych kształtach, których nie przywróci żaden cud. Kościół ten idzie z żywymi naprzód, rozwija twórcze sposoby oddziaływania na wierzących, nie zasklepia się w formułkach, które później tamowałyby mu drogę do postępu. I stąd płynie nasze przeświadczenie, że jest potrzebny, że spełnia pozytywną rolę dla Sprawy Bożej i dla Polski, że jego działalność jest jak najbardziej uzasadniona. Dlatego też trud szermierzy polskiego katolicyzmu jest trudem błogosławionym.

JANUSZ ANDRZEJEWSKI

ZWYCZAJE WESELNE

MARIA SUHAK



Różne są zwyczaje weselne w Polsce. Ktoś powiedział, że „co wieś to inna pieśń”. Z ludowych ślubnych obrzędów do najbardziej nastrojowych należą zwyczaje w przeddzień wesela i wyjazd do kościoła. Są to chwile szczególnie wzruszające dla panny młodej. Opuszcza ona bowiem dom rodzinny i grono swoich rówieśniczek. Dlatego też, gdy narzeczona w przedślubny wieczór siedzi w domu na ziemi widać wianek, a reszta dziewcząt układa bukiety ślubne, smutna piosenka ludowa towarzyszy ich pracy. Po uwiciu wianka dziewczyna klęcząc podaje go swojej matce ze słowami:

„Moja mateńko, kochanie,
przyjm ten wianek córki w
danie”

Matka nie kwapi się z przyjęciem wianka. Po kilka razy odpycha go od siebie. Córka jednak uparcie klęczy i ponawia swoją prośbę. Matka w końcu przyjmuje wianek i przypina go do warkoczy swego dziecka. Podczas tego ludowego ceremoniału dziewczyna klęcząc u stóp matki, śpiewa:

„Matusia wianka nie bierze,
bo od żalości nie zdola.
Serceś moje, żalość moja,
czemuż ty mi nie zapłaczesz?”

W okolicach Krakowa był i jest zwyczaj, że w przeddzień wesela wieczorem gromadzą się druźbowie, drużny i inne dziewczęta z wioski przed chatą panny młodej. Wśród okrzyków radości, młodzieńcych gwarów, piosenek wesołych raz po raz przewija się nuta żalości i smutku. Na przykład drużba śpiewa:

„Dobranoc, dobranoc, dziewczynko
nadobna, cegoz bedziesz płakała?
A czemuż nie sta, kiej cie
ludzie chcieli,
tylko ty na nas cekata?”

Najbardziej jednak uroczysty i najrzowniejszy jest moment żegnania się młodych, szczególnie panny młodej z rodzicami. Wszędzie gdziekolwiek w Polsce przestrzega się starych polskich ludowych zwyczajów, młodzi w stosunku do rodziców okazują zawsze szacunek oraz pokorne oddanie. Pokora ta ujawnia się w głębokim skłonie i to nie tylko wobec samych rodziców, ale w ogóle starszych ludzi. W skłonie tym naturalnie nie ujawnia się jakaś użoność, ale głęboka cześć dla swych rodziców i ich rodzicielskiego autorytetu.

W tym momencie druźbowie i drużny śpiewają piosenki, w których są akcenty żalu i skruchy, słowa prośby do rodziców o przebaczenie. Religijność ludu polskiego przejawia się w wzywaniu Boga, krótkiej modlitwie oraz w błogosławieństwie rodzicielskim.

W niektórych okolicach Krakowa do dnia dzisiejszego chwila odjazdu do kościoła nacechowana jest jakimś dramatycznym napięciem. Oboje młodzi rzucają się do nóg rodzicom, przepraszają ich i proszą o błogosławieństwo. Matka w tym czasie lamentuje, że obcy zabiera jej dziecko, ukochaną córkę, że pusty i osierocony zostanie dom.

Pewnym ceremoniałem jest również ubranie młodej panny w ślubny strój, rozplecenie włosów i włożenie wianka. Podczas tych czynności drużny śpiewają:

„Wybierajze się, dziewczyno,
wybierajze się,
mas — ci cas niematy,
bo to nie na rocek, ani na
tydzień,
ale na wiek cały,
rozmyślajze się w kazdy dzień,
mas ci czas niematy”.

Jakaś wysoka kultura ludu polskiego przejawia się również

w uczuciu wdzięczności, które młodzi ludzie wyrażają nie tylko ludziom i zwierzętom domowym, ale nawet martwym przedmiotom. Podczas tych podziękowań młoda panna wyśpiewuje słowa podziękii skierowane osobno do rodziców, rodzeństwa, rodziny, przyjaciół, znajomych, zwierząt i poszczególnych przedmiotów domowych, począwszy od stołów, ław, a skończywszy na piecu malowanym.

Przy wyjeździe młodej pary do kościoła w okolicach Lublina taką oto śpiewa się pieśń:

„Siadaj, siadaj, Maryś, kochanie,
już ci koniki pozaprzegane,
już koniki stoją w wozie,
już na nic płacz nie pomoże,
Maryś kochanie...”

W okolicach Dunajca i Wisłoka czułe pożegnanie córki z matką znajduje wyraz w następującej przyspiewce:

„Zostańcie z Bogiem wy
matczyne progi,
już tu nie postaną nigdy moje
nogi”.

A matka żegnając się z córką śpiewa:

„Boże, cię prowadź, Boże, cię
błogostaw,
a ino mi chusteczkę na uciechę
zostaw”.

W Wielkopolsce drużba i drużna oraz narzeczeni zbliżają się w pokorze do gospodarzy i gospodyń, uniżenie obejmują ich kolana, mówiąc:

„Prosimy was mili, pięknie,

panie ojcze, pani matko, o błogostawieństwo Boże, Matki Najświętszej i wszystkich Świętych dla młodego państwa”.

Rodzice zaś darzą młodych chlebem i solą.

Ludowe zwyczajowe obrzędy w niektórych okolicach Polski przeniosły się także do kościoła. Tak na przykład w Łąkiem i Gościeszynie drużba po skończonym nabożeństwie prowadzi pana młodego do drużny, a potem do swachen. Jednak żadna z nich nie chce iść z przyprowadzonym panem młodym. Na koniec drużba przyprowadza go do nowozaślubionej żony. Oboje klękają na stopniu ołtarza, a jedna z matek kładzie im na głowie rozmarynowe wianeczki, które kapłan błogosławi. Wianki te po błogosławieniu zabiera się do domu, a po weselu wręcza je nowożeńcom.

Powrót z kościoła do domu połączony jest znowu z licznymi ceremoniami, śpiewami i wesołą muzyką.

„Mijają lata, mijają piosenki” i staropolskie zwyczaje ulegają zapomnieniu. Cywilizacja współczesna i nowe formy życia gospodarczego wpływają na zmianę psychiki człowieka, na nasze pojęcia i wartości. A jednak w tych zwyczajach i tradycjach jest jakaś częśćka duszy naszej i naszej ludowej kultury. Warto czasami o nich przypomnieć i warto kulturować to, co polskie i nasze.

teczki” wódki, uważany jest za intruza.

Cóż robić w tym stanie rzeczy, kiedy uchwały społecznej instytucji nie są przestrzegane przez pracowników społecznego sektora handlu gastronomicznego? Chyba najprościej będzie, jeśli zostanie wzmocniona kontrola nad barami i jadalniami, w których sprzedaje się alkohol o każdej porze dnia. I w wypadku stwierdzenia, że rozporządzenie ograniczające spożycie alkoholu nie jest przestrzegane, należy pociągnąć do bezwzględnej odpowiedzialności tych wszystkich, którzy naruszają przepisy obowiązującego prawa.

TRUDNOŚCI POSTĘPU TECHNICZNEGO NA WSI

Postęp techniczny nie ominął również i wsi polskiej. W wielu mieszkaniach na wsi gra radio, czynne są praktyki, w których niekiedy wyrabia się... masło, coraz więcej pojawia się przedmiotów użytkowych, które ułatwiają pracę i życie gospodyni.

Te nowoczesności są rzecz oczywista dużą zdobyczą na wsi, ale też i źródłem wielu kłopotów. Bo jeśli pralka lub radio zepsują się, trzeba je wieść

do miasta, nieraz bardzo odległego, żeby usunąć uszkodzenie.

Są na wsiach warsztaty: kowalskie, garncarskie, szewskie, krawieckie, kolodziejskie. Nie ma natomiast warsztatów rzemieślniczych nowych branż.

Czytamy w „Dzienniku Ludowym” że postępowi technicznemu musi towarzyszyć powstawanie w wiejskich ośrodkach warsztatów rzemieślniczych nowych branż. Postulat bardzo słuszny. Jego realizacja powinna być przedmiotem troskliwych starań tych wszystkich czynników społecznych, których istnienie ma na celu dźwiganie kulturalne wsi polskiej.

LEKKOMYŚLNA DECYZJA

Poznański oddział Banku Narodowego przeprowadził kontrolę w kilku księgarniach „bubli” wydawniczych. Do owych „bubli” zaliczono m. in. „Wspomnienia z teraźniejszości” Brandysa, „Słownik pijacki” — Juliana Tuwima i wiele innych książek. Fakt ten wywołał uzasadnione oburzenie ze strony pisarzy i Zw. Literatów Polskich, którzy protestowali przeciw podejmowaniu decyzji o przeznaczaniu na przemiał książek, które może w Poznaniu nie mają nabywców, ale za

to w innych częściach kraju są poszukiwane.

Przy tej okazji posypały się na Poznania gromy. Gromy nie zawinione. Jerzy Mańkowski, pisząc wielki artykuł pt. „Szkoda tych książek na stos” — stwierdza, że w Poznaniu obowiązują w kulturze, w literaturze, podobnie zresztą jak i w innych dziedzinach życia, odrębny, specyficzny, rzadko spotykany gdzie indziej kodeks zbiorowego i indywidualnego postępowania. Znana jest powszechnie poznańska dbałość o czystość, porządek, dokładność i pedanteria, solidność i dążność do dostatku i dobrobytu.

Brak natomiast Poznańowi — pisze autor — w przeciwieństwie do Krakowa, Warszawy czy Łodzi tradycji kulturalnych i literackich.

Jeśli nie ma tradycji, to trzeba tę tradycję stworzyć. Przecież w Poznaniu żyją, pracują i tworzą dziesiątki pełnowartościowych pisarzy, malarzy, muzyków. Cóż oni tam robią? Dlaczego nie podejmą trwałego wysiłku ożywienia życia kulturalnego w Poznaniu, co byłoby znakomitym uzupełnieniem materialnych form bytowania społeczności poznańskiej.

ADAM KŁOS



PIJACKIE MELINY

Sprawa pijaństwa i ułatwień, jakie czynią nasze instytucje gastronomiczne miłośnikom „głębszej z kropelkami”, nie schodzi ze szpalt dzienników.

W jednym z pism stołecznych czytamy:

„Przed dwoma laty podjęta została uchwała ograniczająca sprzedaż alkoholu w lokalach tzw. szybkiego żywienia, barach samoobsługowych. Postanowiono w zakładach tych sprzedawać tylko 50 gr wódki do tzw. dania zasadniczego”.

Praktyka wygląda zupełnie inaczej. Wiele barów samoobsługowych — to w tej chwili po prostu pijackie meliny... Ten kto przyszedł zjeść obiad, a nie zamawia do niego co najmniej „cwiara-

ZBLĄKANA OWCA - BIAŁYSTOK. Z formy Twemu listu mamy prawo wnioskować, że jesteś inteligentną panią. Dlatego dziwimy się Twemu rozumowaniu. Jaki jest w ogóle sens angażowania się uczuciowo w człowieka, który będąc księdzem rzymskokatolickim nie może odwzajemnić Twego uczucia bez narażenia siebie i Ciebie na bardzo przykre konsekwencje.

Rozumowanie Twoje, że ksiądz jest bliźnim, a bliźniego należy kochać, jest błędne. Inna jest całkiem barwa uczucia miłości do bliźniego, a inna miłość panią do przypuszczalnie młodego mężczyzny. Nie jest jednak ona grzechem i nie trzeba się z niej spowiadać; lecz kto chodzi po rozżarzonych węglach, może się czasem sparzyć. I dlatego czasu szkoda i szkoda niepotrzebnie roztrwonionych uczuć.

Radzimy Ci przeczytać opowiadanie pt. „Czerwone róże” zamieszczone w 5 i 6 numerze „Rodziny”. W nim znajdziesz odpowiedź, jak czasem kończy się taka miłość.

Kwiaty można każdemu posłać na imieniny. Jest to przyjęte i wypada.

Czytaj uważnie „Rodzinę” i innym polecaj, a na pewno pogłębisz swą wiedzę o życiu i ludziach.

Pamiętaj, że uczucie winno być zawsze kontrolowane rozumem. Unikniesz przez to życiowych dramatów. Proś Boga o wiarę żywą i siłę wewnętrzną.

Mile pozdrawiamy

WIADOMOŚCI Z KOŚCIOŁA POWSZECHNEGO

„POZNAJ SWÓJ KOŚCIÓŁ”

Pod tym hasłem odbyło się w końcu sierpnia 1960 roku w Carnegie (USA) pierwsze powszechne spotkanie polskiej młodzieży narodowo-katolickiej. Zgromadziło się z górą 400 młodzieży Polskiego Katolickiego Narodowego Kościoła Stanów Zjednoczonych i Kanady. W spotkaniu tym brały także udział połączone polsko-katolickie chóry kościelne okręgu Pittsburg. Uroczyste nabożeństwo w kościele parafialnym Wszystkich Św. odprawił ks. biskup Tadeusz Zieliński, ordynariusz diecezji Buffalo-Pittsburg. Przedstawiciele młodzieży brali udział w uroczystej procesji; polskie chóry kościelne po raz pierwszy wykonały pieśni mszalne w języku angielskim.

Na konferencji w ozdobionej sali parafialnej wygłoszono szereg referatów o podstawowym znaczeniu. Referentami byli prawie wyłącznie laicy. Następnie odbyła się dyskusja i śpiewano wspólnie pieśni kościelne oraz deklamowano wiersze, będące wyrazem serca wierzącego katolika. Ze szczególnym uznaniem należy podkreślić odczyt Nemkowicza z Jounstown „O istocie, nauce i zadaniu Polskiego Katolickiego Kościoła Narodowego”. Prelegent zaznaczył, że Polski Kościół zachowuje katolickie dogmaty Kościoła Powszechnego. W dyskusji ks. biskup Zieliński podkreślił, że Polski Kościół zachował sukcesję apostołską za pośrednictwem Staro-Katolickiego Kościoła Europy.

O czci obrazów w Polsko-Katolickim Ko-

Wiadomo, że dobra pielęgnacja chorego jest tak samo ważna jak dobre postawienie rozpoznania choroby przez lekarza i prawidłowe leczenie. Dobra pielęgnacja i przestrzeganie jak najściślejsze wskazówek leczącego, przyczynia się w wielkiej mierze do szybszego wyzdrowienia. Zastrzec się musimy na wstępie, że dziś nie będzie mowy o chorych zakaźnie, którzy wymagają izolacji, a to jest sprawa odrębna. Mówić będziemy o chorym obłożnie, przebywającym w domu. Jeśli tylko warunki mieszkaniowe na to pozwalają najlepiej jest, by chory przebywał w oddzielnym pokoju, by jak najbardziej odizolować go od wrzawy, hałasu i krzątaniny.

Pokój, w którym chory przebywa, musi być co najmniej dwa razy w ciągu dnia dobrze wentylowany. Otwierać okno zimą należy po dokładnym okryciu chorego. W okresie letnim oczywiście okna winny być otwarte całą dobę, a przynajmniej cały dzień. Przy upałach i silnym nasłonecznieniu wskazane jest przysłonięcie okien lekką, jasną, płócienną zasłoną.

Chory, mimo że zasadniczo nie ma wiele okazji do brudzenia się, musi jednak tak jak i zdrowy, rano i wieczorem umyć się. Jeśli chory może usiąść na łóżku, mycie nie sprawia trudności. Chorego leżącego rhyjemy gąbką lub myjką częściami, dla zabezpieczenia pościeli podkładając odpowiedniej wielkości kawałek ceraty. Musimy też pamiętać o higienie jamy ustnej i codziennym czesaniu chorego.

ściele mówiła pani Rosali Clark z New Kensington, podkreślając, że modlimy się tylko do Boga i że posąg i obrazy są tylko wyobrażeniem postaci świętych. Na pytanie co do ilości świętych, biskup Zieliński wyjaśnił, że Polsko-Katolicki Kościół uznaje wszystkich świętych z pierwszego okresu chrześcijaństwa. W swoim odczycie „Częste przyjmowanie Komunii Świętej” p. Mandekic powiedział, że jest konieczne możliwe częste przyjmowanie Ciała i Krwi Chrystusowej jako pokarmu duchowego.

KWAKRZY ZA POKOJEM

Przeszło 800 członków „Towarzystwa Przyjaciół” (kwaków) przez trzy dni i trzy noce pełniło straż pokojową przed Pentagonem w Waszyngtonie i skierowało petycję do prezydenta Eisenhowera potępiającą wszelkie działania wojenne. Powodem do tej manifestacji była trzechsetna rocznica dnia, w którym kwakrzy po raz pierwszy zwrócili się z petycją pokojową do króla angielskiego Karola II.

STAROIZRAELSKA TWIERDZA KRÓLEWSKA

Wykopano w pobliżu Jerozolimy ruiny twierdzy pochodzącej z ósmego stulecia przed Chr. Jest to, zdaniem fachowców, zamek, w którym król izraelski Uziasz miał swoją rezydencję poza murami miasta Jerozolimy, ponieważ sam był trędowaty.

O ile przebywanie w łóżku trwa dłużej, powinno się przynajmniej raz w tygodniu urządzić choremu „kąpiel w łóżku”. Łatwiej wykonać to przy pomocy drugiej osoby. Konieczna jest wówczas dość duża cerata, na której układamy chorego i szybko obmywamy całe ciało, natychmiast wycierając ręcznikiem. Pościel chorego poprawiamy i rano, i wieczorem prześcielając łóżko, a raz na tydzień lub co dziesięć dni zmieniamy. Bardzo ważnym momentem pielęgnacji chorego jest podawanie przepisanych przez lekarza leków. O zastrzykach nie mówię, bo to już najczęściej wykonuje siła fachowa, ale pozostają przepisane tabletki, krople, miksturki czy ziółka. Lekki w płynie najwygodniej podawać w specjalnym miareczkowanym kieliszku, który kupić można w drogerii. Jeśli go jednak nie posiadamy, to możemy używać zastępczych miar, które mają w przybliżeniu następujące pojemności: szklanka – około 200 gr wody. Mały kieliszek – około 30 gr wody, łyżka stołowa – około 15 gr wody, łyżeczka od herbaty – około 10 gr wody, łyżeczka od czarnej kawy – około 5 gr wody.

Niektóre leki musimy podawać w kroplach. Jeśli buteleczka z lekarstwem ma specjalny dziobek, odmierzenie kropli nie następuje trudności. Jeśli nie, trzeba się zaopatrzyć w kroplicierz (do nabycia za kilkadziesiąt groszy w aptece). Lekki w kroplach podajemy zwykle na odrobinie wody lub herbaty. Lekki oleiste, jak parafina czy rycyna, najłatwiej przyjmie chory w gorącej, gorzkiej, czarnej kawie lub zmieszane z sokiem cytrynowym. Proszki można podawać albo bezpośrednio na język choremu i zaraz podać herbatę do popicia, albo rozmiśnięte z odrobiną wody na łyżeczce. Jeśli jednak zostanie na dnie łyżeczki jakaś reszka proszku, trzeba ją podać, żeby chory zażył faktycznie przepisaną mu ilość leku. Najłatwiej podawać tabletki do połknięcia. Trzeba tylko pamiętać, by przy niektórych lekach, jeśli lekarz zaleca „dużo popić”, np. przy sulfatiazolu, przygotować choremu odpowiednią ilość płynu.

Przepisując choremu zioła lekarz informuje, jak je należy przyrządzić: czy jako napar, czy odwar, czy wreszcie wyciąg wodny.

Napar przyrządzamy następująco: na przepisaną ilość ziół nalewa się odpowiednią ilość wody wrzącej, szczelnie przykrywa i odstawia na 10–15 minut, po czym przecedza przez sitko. Dla otrzymania odwaru zioła zalewamy wodą, stawiamy na ogniu i gotujemy przez 15–20 minut, potem przecedzamy.

Dr. A. MALUSZYŃSKA

SPROSTOWANIE

W noworocznym numerze „Rodziny” na str. 16 omyłkowo napisano zagadka matematyczna. Winno być zadanie matematyczne. Nie podano również nazwiska Autora zadania. Jest nim mgr inż. Mikołaj Orlicki.

OD REDAKCJI

Za zniekształcenia i błędy w komentarzu do ewangelii na Uroczystość Imienia Jezus Redakcja przeprasza P.T. Czytelników i Autora.

KALENDARZYK TYGODNIOWY NA 3 TYDZIEŃ ROKU od 15—21 stycznia 1961		Wschód słońca	Zachód słońca
15 N	II po T. Kr., Pawła	7,40	15,52
16 P	Marcelego, Włodzimierza	7,39	15,53
17 W	Antoniego op.	7,39	15,54
18 Ś	Pryski	7,38	15,56
19 C	Mariusza i Henryka	7,36	15,58
20 P	Fabiana i Sebastiana	7,35	15,59
21 S	Agnieszki, Jarosławy	7,34	16,01

Wydawca:
Wydawnictwo Literatury Religijnej
Redaguje Kolegium

Adres redakcji i administracji: Warszawa, ul. Wilcza 31. Telefony: 8-97-84; 21-74-98.

Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmowane są w terminie do dnia 15 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty przez: Urzędy Pocztowe, listonoszy oraz Oddziały i Delegatury „Ruchu”. Można również zamówić prenumeratę dokonując wpłaty na konto PKO Nr 1-6-100020 – Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch” Warszawa, ul. Srebrna 12. Na odwrocie blankietu należy podać tytuł zamawianego czasopisma, czasokres prenumeraty oraz ilość zamawianych egzemplarzy.

Cena prenumeraty: kwartalnie – zł 26, półrocznie – zł 52, rocznie – zł 104.

Cena prenumeraty za granicą jest o 40% wyższa od ceny podanej wyżej. Przedpłaty na tę prenumeratę przyjmuje na okresy kwartalne, półroczne i roczne Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch” w Warszawie, ul. Wilcza 46 za pośrednictwem PKO Warszawa. Konto Nr 1-6-100024.

Warszawa, ul. Okopowa 58 72. Zam. 2030, S-47.



Rząd Jordanii zakazał wywozu papierosów znalezionych nad Morzem Martwym przed 12 laty. Papierusy te zawierają teksty biblijne i przedstawiają ogromną wartość naukową. Ostatnio Amerykanie chcieli je zakupić.

Na Saharze żyje obecnie 583.000 ludzi.

W początkach następnego roku telewizja angielska rozpocznie nadawanie programu w barwach naturalnych.

Zorze polarne występują równocześnie zarówno na północnej jak i na południowej półkuli. Stwierdzono to na podstawie długoletnich obserwacji.

*

W Ameryce wytworzono sztuczne włókno z krystalicznych tlenków metali. Tkaniny z tego włókna nie dają się rozerwać, nie zapalają się.



Zima w górach



ARCHIWUM OBLUDY

Przed paroma laty na rynku księgarskim ukazała się szczególna książka. Był to mianowicie pamiętnik byłego Jeźuity Alighiero Tondi, byłego profesora Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego w Rzymie, który po 16 latach swojej przynależności do sławnego i osławionego zakonu Jezuitów zrzucił szatę zakonną i uciekł z klasztoru. Czytając te dosyć szczególne pamiętniki natrafiamy na taki ustęp, w którym Tondi opisuje wydarzenia roku 1945 w Rzymie, zaraz po zakończeniu działań wojennych. A oto fragment:

„A teraz chciałbym rzucić okiem na środowisko Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego. Otoczenie zewnętrzne było wspaniałe. Sam gmach, obszerna biblioteka, wszelkie urządzenia budziły podziw. Jednakże przepych i bogactwo całego środowiska — zwłaszcza zaś przepych i bogactwo niektórych jezuitów — podzialały na mnie odpychająco. Nawet w okresie powszechnego głodu, w czasie wojny i bezpośrednio po wojnie, dawano nam wykwintne potrawy. Natomiast biednym dawało się raz w tygodniu po 3 albo 4 liry. Zwrócono mi kiedyś uwagę, żebym nie rozdawał tym nieszczęśliwym „watykańskiego chleba”. Chodziło o to, żeby nie wiedzieli, co jedzą zakonnicy. My zaś o każdej porze dnia mieliśmy bez ograniczeń kawę, mleko, masło, ser, jajka, owoce, ciastka. Jeśli nie było czegokolwiek pod ręką, wystarczyło tylko zażądać. Każdy mógł jeść do woli, każdy mógł zamawiać najbardziej wyszukane potrawy i dania. Jednym słowem, nie brakowało nam niczego...”

Komentarze są zbyteczne. (jg)

HUMOR



Tu możesz dostać świeżego soku pomarańczowego...

*

Sędzia do zeznającego świadka: — ile macie lat?

— Trzydzieści, panie sędzio.

— Jak to? Pamiętam, że przed kilku laty zeznawaliście tutaj i również mówiliście, że macie 30 lat.

— Tak, panie sędzio. Ale dlatego, że ja nie jestem z tych, co dzisiaj twierdzą tak, a jutro inaczej.



ROK 2050 W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Jak obliczył profesor Hauser z USA, Stany Zjednoczone liczyć będą w roku 2050 miliard mieszkańców. Warto podać, że w roku 1940 USA liczyły 132 miliony, obecnie 180 milionów. Natomiast na początku naszego stulecia tylko 76 milionów obywateli. Jak widać, na świecie robi się coraz ciasniej.

PRZED 98 ROCZNICĄ WYBUCHU POWSTANIA STYCZNIOWEGO

W latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia wzmógł się ucisk zaborców, który kępował wszelkie postępowe poczynania. Szczególnie trudna była sytuacja Polaków pod zaborem rosyjskim. Wśród społeczeństwa polskiego rósł opór i chęć walki. Powstawały tajne zgromadzenia. Wprowadzono narodową żałobę polegającą na wyrzeczeniu się wspaniałych strojów

i hucznych zabaw tanecznych. Śpiewano starą piosenkę Gaszyńskiego:

*Schowaj, matko, suknie moje,
Perły, wieńce z róż.
Jasne szaty, świetne stroje,
To nie dla mnie już.*

*Niegdyś jam stroje, róże lubiła,
Gdy nam nadziei wytryskał zdrój,
Lecz gdy do grobu Polska zstąpiła,
Jeden mi tylko przystoi strój:*

Czarna sukienka!

Ludzie zbierali się w kościołach, gdzie śpiewano pieśni patriotyczne, szczególnie podczas rocznic i uroczystości. Urządzano manifestacje. Podczas jednej z takich manifestacji wojsko rosyjskie strzelało do tłumu. Padło 5 osób. Z kolei pogrzeb pięciu zabitych stał się nową manifestacją. Dziesiątki tysięcy ludzi odpro-



wadzało trumny z pomordowanymi. Latarnie osłonięto krepą. Przed trumną kroczyli duchowni wszystkich wyznań. Grób 5 poległych stał się celem pielgrzymek.

Dostojnik Kościoła rzymskokatolickiego, biskup Feliński, przeciwstawiał się urzędowaniu nabożeństw patriotycznych i „trzymał” z Petersburgiem.

Branka, która zaczęła się 15 stycznia 1863 r., przyspieszyła wybuch powstania. Otrzymało ono w historii nazwę styczniowego.

Ks. T. GORGOL

